MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 40. WARSZAWA, 11 WRZEŚNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEDOLE „GOSPODARKI ZWIĄZANEJ"

OD DŁUŻSZEGO czasu już jesteśmy świadkami niepowodzeń „gospodarki związanej". Początkowo, gdy kryzys obejmował tylko rolnictwo i niezorganizowane gałęzie produkcji, mogło się zdawać, że istotnie organizacja jest środkiem zabezpieczenia się przed przesileniami i przerzucenia ich skutków na inne działy produkcji, czy też na inne warstwy społeczeństwa. Obecnie jednak staje się coraz bardziej widocznem, że przy dłuższem trwaniu przesilenia gospodarczego, skutki jego muszą dotknąć wszystkich.

Przy dużej płynności niektórych czynników, jak ilość pieniądza w obiegu, ceny artykułów rolniczych, stan zatrudnienia i t. p. niemożliwe jest utrzymanie pewnych pozycyj niezmiennych. Niestety, na tem nierealnem dążeniu opierała się w ostatnich latach polityka państwa, organizacyj przemysłowych i związków robotniczych.

Państwo utrzymywało sztywne ciężary podatkowe, nieelastyczny budżet, oparty na wynikach gospodarki finansowej w latach wyjątkowo pomyślnych. Obecnie, zbyt późno i dlatego właśnie bezplanowo, ogranicza swe wydatki. Kartele przemysłowe utrzymywały wysokie ceny, obecnie powoli wchodzą na drogę ich obniżania. Gdyby pomyślały wcześniej o zniżce cen, być może udałoby im się w większym stopniu utrzymać dawne rozmiary zbytu. Związki robotnicze walczyły do upadłego o poziom płac, nie widząc, że równocześnie w zatrważającem tempie rośnie bezrobocie.

Było w tej polityce niewątpliwie dużo krótkowzroczności, braku doświadczenia u kierowników nawy państwowej, którzy do rządzenia sprawami gospodarczemi najmniej byli powołani, i u kierowników karteli przemysłowych oraz przywódców robotniczych, którzy dysponowali bardzo niebezpieczną bronią organizacji, nie rozumiejąc dobrze skutków jej działania.

Można jednak usprawiedliwić poniekąd tę ślepotę: w Polsce nigdy właściwie nie było deflacji, a od roku 1914 mieliśmy stale inflację, naprzemian pieniężną i kredytową. Nikomu poprostu nie przychodziło na myśl, że wartość pieniądza wzrastać może, zamiast spadać. Dlatego nikt nie chciał zniżać cen, jeżeli tylko można je było sztucznie utrzymać. Oczywiście, mówiąc „nikomu", myślimy o tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie się polityki gospodarczej. Poza obozem rządzącym byli tacy, którzy wskazywali na niebezpieczeństwa wysokiego budżetu, sztywności cen i t. p.

Obok sztywności elementów układu gospodarczego, wynikającej z celowych poczynań państwa i organizacyj gospodarczych, mamy do czynienia ze sztywnością, wynikającą z przyjęcia za podstawę obrachunków w dłuższych okresach czasu złota, którego wartość jest niestała. Wszelkie zobowiązania wyrażane są w pieniądzu, opartym, jak dotychczas, o złoto. Faktycznie są one „elastyczne" w sensie dla wierzyciela niekorzystnym; formalnie nieelastyczne, gdyż ich wartość nominalna nie ulega zmianie. Jest to zagdnienie odrębne, które narazie pozostawiamy na boku. Z nieelastycznością zadłużenia mieliśmy zawsze do czynienia, nieelastyczność cen i płac w takim, jak dziś, stopniu jest zagadnieniem zupełnie nowem.

Motywem zasadniczym polityki sztywności była chęć stabilizowania konjunktury, ulubione hasło *quasi*-ekonomistów, kierujących polityką karteli. Stabilizacja zupełna w zakresie stosunków gospodarczych jest niemożliwa, jak niemożliwe jest ustalenie poziomu wód w płynącej rzece. Możliwe jest jednak dążenie do stabilizacji, które wtedy ma sens, gdy ustala się całokształt czynników, wpływających na taki lub inny układ równowagi gospodarczej.

W pierwszym rzędzie chodzi tu o stosunki pieniężne i kredytowe. Jak długo państwa i banki emisyjne przestrzegały ściśle zasady pokrycia złotem obiegu pieniężnego, nie było podstawy do silnych wahań jego siły nabywczej. Gdy jednak uznano za równorzędną podstawę dla emisji pieniądza dewizy, stosunki uległy radykalnej zmianie. Dewiza jest krótkoterminowem zobowiązaniem zagranicznego banku do wypłacenia pewnej ilości bankno-

tów. Banknoty z kolei mogą być wymienione na złoto, pozornie zatem trzymanie pokrycia w dewizach jest gospodarczo uzasadnione. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że system równorzędności dewiz i złota doprowadza do sztucznego zwiększenia ilości pieniądza, znajdującego się w obiegu. Następuje poprostu wymiana dewiz między państwami. Naprzykład Polska może dostarczyć Czechosłowacji weksli na pewną sumę, jako zapłatę za importowane towary. Dopóki Czechosłowacja ma zaufanie do Polski, weksle leżeć mogą w banku emisyjnym i stanowić pokrycie dla czeskiego pieniądza. Równocześnie czeskie dewizy leżą w Banku Polskim. Gdyby bank emisyjny nie miał możności trzymania pokrycia w dewizach, musiałyby one w krótkim czasie dostać się z powrotem do kraju, w którym zostały wystawione, a wzamian za nie musiałyby napłynąć banknoty, lub złoto. To samo, *mutatis mutandis*, nastąpić musi z banknotami państw obcych, których żaden bank emisyjny nie trzymałby, gdyby nie mogły one stanowić pokrycia dla pieniądza.

Podstawa pieniądza stała się w ten sposób zupełnie płynna, zależna od tak niepewnego czynnika jak zaufanie. Gdy banki emisyjne traciły zaufanie do walut obcych krajów, wymieniały dewizy i waluty na złoto. Złoto musiano czerpać ze skarbców emisyjnych. Tą drogą kurczyło się pokrycie, poprzednio sztucznie zwiększone. Tutaj mamy wytłumaczenie dużej szybkości procesu deflacyjnego. Od systemu pokrycia dewizowo-złotego przeszliśmy dziś w praktyce do pokrycia czystego złotego. Być może, że znów rozpocznie się, z chwilą t. zw. „powrotu zaufania", proces zwiększenia obiegu pieniężnego. Oznaczałoby to utrwalenie systemu, narażającego życie gospodarcze na silne wahania, systemu wprowadzanego za podnietą tych, którzy równocześnie mówili o... stabilizowaniu konjunktury.

Dziwną tę sprzeczność tłumaczy ślepa chciwość wielkiego kapitału. W okresie stałego postępu techniki i ulepszania metod wytwórczości musi następować spadek cen. Można mu zapobiec tylko drogą zwiększenia obiegu pieniężnego, albo, w ostateczności, drogą zmniejszania podaży towarów, czyli redukowania robotników. Początkowo w sferach gospodarczych całego świata popularne było zwiększanie obiegu pieniężnego. Z jego pomocą powstrzymano naturalne dążenie do spadku ogólnego poziomu cen po wojnie. Był to jednak tylko paljatyw, na dalszą metę szkodliwy. Sztucznie rozszerzany obieg niesłychanie łatwo się skurczył, gdy przyszedł odpływ zaufania. Z tą chwilą wynaleziono nowy sposób stabilizacji cen: ograniczanie produkcji, pociągające za sobą z nieuchronną konsekwencją dalsze wzrastanie depresji. Czyli znowu, chcąc stabilizować jeden współczynnik układu równowagi gospodarczej — cenę, wprowadzono wahania innych współczynników — zbytu i stanu zatrudnienia.

Na tle zasadniczej sprzeczności między poszczególnemi działami życia gospodarczego, z których jedne rządzone są świadomie według jednolitego planu, drugie zaś poddane działaniu wolnej konkurencji i nieskoordynowanch poczynań jednostek, rysuje się wyraźnie kryzys współczesnego ustroju gospodarczego. Sztywność jednych czynników, przy zupełnej elastyczności drugich, doprowadza do niebywałych w historji gospodarczej świata trudności. Nie sposób jeszcze w tej chwili powiedzieć, czy jest to wynik samego istnienia nowych form gospodarczych, czy też poprostu rezultat nieumiejętności ich właściwego zastosowania.

Wiele okoliczności przemawia za tą drugą hypotezą. Trudno bowiem przypuszczać, aby kiedykolwiek miały się powtórzyć tak krótkowzroczne dążenia gospodarki związanej, jak walka o inflację zamaskowaną, kryjącą się pod pieniądzem opartym o dewizy, lub też zwalczanie kryzysu przez sprowadzanie wytwórczości do minimalnych granic. Wszak właśnie te tendencje podważyć muszą wcześniej, czy później wszelkie wysiłki, zmierzające do stabilizacji cen i płac, będące przecież hasłem programowem karteli i związków robotniczych. Z drugiej strony nasuwa się wątpliwość, czy bezpośrednio zainteresowane materjalnie czynniki potrafią kiedykolwiek zdobyć się na zrozumienie interesów całości życia gospodarczego? Czy zatem nie należałoby im o d e b r a ć p r a w o r e g u l o w a n i a g o s p o d a r s t w a, p o z o s t a w i a j ą c i m z d r u g i e j s t r o n y p e ł n ą s w o b o d ę g o s p o d a r o w a n i a?

WOJCIECH ZALESKI

JESZCZE O LOSACH CYWILIZACJI

TRZEBA od czasu do czasu przypominać znaczenie słów, których zarysy ścierają się w nieustannym użytku. Otóż zaczyna się ustalać, przynajmniej w Polsce, zapatrywanie, że obecny kryzys gospodarczy jest czemś więcej, mianowicie kryzysem cywilizacji. Ale zdarza się spotykać z mniemaniem, traktującem cywilizację jako zespół środków materjalnych, a cały zakres sił duchowych zamykającem w pojęciu kultury. Zwłaszcza wpływy niemieckie działają na nas w tym sensie. Otóż należy mocno trzymać się etymologi łacińskiej, wedle której cywilizacja oznacza „uobywatelenie", uspołecznienie" człowieka, — jego dostosowanie do życia w zbiorowości. Idzie za tem pewne jego sharmonizowanie, które nie może być nigdy tylko zewnętrzne, — ani też wyłącznie indywidualne, które z natury rzeczy sięga głęboko zarówmo w ustrój duchowy jak i społeczny.

Z tej istoty cywilizacji wypływa wiele jej właściwości. A tak, jeśli przypomnimy sobie typy cywilizacji tego rodzaju jak n. p. egipska lub chińska, to nas nie może nie uderzyć cecha wielkiej ich t r w a ł o ś c i i s t a ł o ś c i, sprawiająca, że ludy te przez dziesiątki wieków pozostać mogły przy pewnym odrębnym trybie życia, zarówno materjalnego jak i moralnego, podległego oczywiście i przeobrażeniom i odchyleniom, nie załamującego się jednak w zasadniczej swej linji. A było to możliwe dlatego, że te cywilizacje przedstawiały j e d n o ś ć i z u p e ł n o ś ć, ogarniającą całość człowieka i społeczeństwa, przewidującą jego potrzeby, normującą jego postępowanie. Rzecz jasna, że każdej takiej odmianie cywilizacji odpowiadała pewna k u l t u r a, może bardzo niewysoka, lecz ściśle do układu całości dostosowana.

Wybór tak pierwotnych i odległych od nas przykładów mógłby budzić słuszne wątpliwości, gdyby nie to, że właśnie taki najprostszy spraw-

dzian pojęcia cywilizacji nietylko nie obniża poziomu naszych wymagań, lecz go właśnie podnosi. Istotnie wspomniawszy na zdumiewającą wszechstronność i wyrobienie form życia u wymienionych co dopiero ludów, spostrzeżemy się, że cywilizacja w pełnem swojem znaczeniu nie jest wcale zjawiskiem nadmiernie częstem, zrozumiemy mianowicie, że nie wystarczy, by gdzieś zakwitła na chwilę ta czy owa umiejętność, by było uzasadnione nazywanie tego zjawiska epoką cywilizacji.

A tak można mieć wątpliwości n. p. co do „cywilizacji“ greckiej. Był duch grecki, był artyzm grecki, — ale wiek Peryklesa trwał tylko chwilę.— Platon, niezrównany myśliciel i niezrównany poeta, czuł się pogrobowcem pewnych form życia, które za jego czasów ginęły, państwo Aleksandra W-go było tylko epizodem. Słowem, kulturze greckiej bodaj brak trwałości, brak mocnych i stałych ucieleśnień na to, aby stała się była cywilizacją. Można się wahać także co do Rzymu. Tu znowu brak duchowej treści, brak samorodnego rozkwitu naturalnych zawiązków i przesłanek. Ten Rzym jest przecież zjawiskiem schyłkowem i poniekąd mechanicznem. On skuwa i cementuje świat, rozkruszony i zużyty, pozbawiony już ośrodków samodzielnego istnienia, — ujmuje już tylko w karby powszechny bezwład, będący zaprzeczeniem cywilizacji. Nie prowadzi to bynajmniej do lekceważenia Rzymu, lecz może raczej do wniosku, wcale nie nowego, że chcąc traktować o cywilizacji, winniśmy w każdym razie sięgnąć szerzej i mówić o grecko-rzymskiej. Tejbyśmy już mogli przpisać kilkanaście wieków trwania i pewną jedność geograficzną, a także tę wrzechstronność, która ogarnia wszystkie sprawy ludzkie od greckich poematów i filozofemów zaczynając, a kończąc na rzymskiej sztuce wojennej, na rzymskeim prawie i administracji. Ta cywilizacja ma już mniejszą trwałość od poprzednio wymienionych, ma szybszy rytm, ale też niezaprzeczenie bogatszą i głębszą treść oraz obfitsze zdobycze.

Mimo to nie jest rzeczą wcale łatwą oznaczyć jej wyniki, zdać sobie sprawę, czem człowiek starożytny naprawdę był, a czem nie był jeszcze. W każdym razie wskazać się godzi na dziedzinę sztuki jako definitywnie w tej epoce zdobytą, z całem usprawnieniem ducha ludzkiego, które to z sobą przynosi, oraz przypomnieć miarę wolności, jaka przypadła w udziale obywatelowi cesarstwa rzymskiego, skodyfikowaną w instytucjach prawnych, w porównaniu z niebywałem skrępowaniem człowieka na łonie dawniejszych społeczeństw.

Ta postać cywilizacji, wyżej rozwinięta i silniej zróżnicowana, nasunęła nam jeszcze jedną, podstawową jej cechę, mianowicie samorodność, konieczne pochodzenie z pewnych warunków przyrodzonych, zgóry danych, z pewnych naturalnych zarodów czy przesłanek. Cywilizacja z istoty swojej nie jest sztucznym wyrobem, nie może być fabrykatem tylko. Jest owocem nagromadzonych energji i człowieka — ale w obrębie zastanych przez niego stosunków, — jest rozwojem pewnego tematu dostarczonego przez naturę rzeczy, owocem dojrzewaiącym stopniowo w sposób nie dopuszczający obcego swemu przyrodzeniu przymusu. To tłumaczy w dalszym ciągu, dlaczego nie może być i niema istotnej cywilizacji *in abstracto*, dlaczego prawdziwa cywilizacja jest zawsze zrosła z pewnym zespołem danych etnicznych, geograficznych, historycznych, dlaczego jest tak bardzo wykwitem dziejów.

Następna jej epoka, która narzucza się naszej uwadze, ilustruje to w sposób bardzo wymowny. A uciera się powoli przekonanie, że jest taka epoka — i to nie inna, jak wieki średnie. Do niedawna pozostawaliśmy pod negatywnym wpływem, tak silnym jeszcze Reformacji, Oświecenia, czy Rewolucji Francuskiej, że o cywilizacji wieków średnich trudno się było odzywać. Romantycy wprawdzie mieli niejaką słabość do legend i ruin,—ale w formie naogół mglistej i nieokreślonej. W obronie średniowiecza występowali oddawna katolicy, jak niemiecki historyk Jansen, zważywszy na rolę odgrywaną wówczas przez Kościół, — lecz sama ich tendencja apologetyczna osłabiała poniekąd ich tezy. Jednym z pierwszych pisarzy, reprezentujących prawdziwy zwrot w ocenie średniowiecza, był wielki angielski esteta John Ruskin. Zdaje się jednak, że dopiero współczesne przewroty i przesilenia powołane są do otwarcia szerszemu ogółowi oczu na znaczenie i wartość wieków średnich.

Oczywiście strzedz się tu trzeba nie tyle przesady, ile nieporozumień. Kto mówi o wiekach średnich, ten wiedzeć musi, że jest to epoka, która wychodzi od zupełnego upadku wszelkiej cywilizacji i najgłębszego barbarzyństwa, — wiedzieć także, że dwa były czynniki, które na świat europejski tego okresu nieustannie działały, a mianowicie tradycja rzymska i Kościół katolicki. I otóż te dwa czynniki, na świeżem podłożu etnicznem i przy pewnem przesunięciu geograficznem zaczynają wywoływać procesy krystalizacyjne, przebiegające na razie powoli, ale potem nader szybko, na których podstawie, po upływie kilku wieków, staje świat zachodni z gruntu przeobrażony, jako zamknięta w sobie, ale zupełna, i od góry do dołu jednolita całość cywilizacyjna. Z tej jedności cywilizacyjnej myśmy wyszli — i choć ostatnie wieki historji odnosiły się do niej zaprzecznie, a nawet destrukcyjnie, — nie zdołały jej zastąpić ani jej dorównać. Pomnożyły niepomiernie różne żywioły i składniki cywilizacji, przyspożyły dużo kultury, ale nie zdołały ich uporządkować, ani złożyć w całość i dlatego żyjemy obecnie w świecie tak bardzo nieharmonijnym.

Wartość cywilizacyjna wieków średnich nie polega na materjalnej doskonałości ich urządzeń. Nie należy oczu zamykać na częste objawy anarchji, na nie kończące się wojny, na bezsilność wobec głodu i zarazy, na pewne prostactwo i nieokrzesaność życia, na uderzająco nieraz nikłę skalą poczynień i wyników. A jednak wieki średnie stworzyły coś, czego nam braknie, mianowicie całokształt organicznych form życia, zdolny zaspokoić istotne potrzeby człowieka i społeczeństwa, wyznaczający im stałe koleje, nie zostawiający losów jednostek i grup prostemu wypadkowi, lecz zapewniający im pewnę orjentację i pewną treść wewnętrzną, nie kuszący się o usunięcie wszelkich sprzeczności i niedomagań, lecz umiejący roztropnie z niemi się liczyć, nie czyniący z człowieka odosobnionego atomu, rzuconego w przestworza, lecz istotę zrosłą wewnętrznie i zewnętrznie ze swojem otoczeniem, posiadającą pewne normy i punkty oparcia, pewne tradycje i kanony, do których naturalnie wrastała, nie zmuszona wszystkiego na swój użytek improwizować, a w rezultacie zużywać się w nieustających starciach z otoczeniem.

Zewnętrzne rysy średnich wieków zatarły się bardzo w naszej pamięci, a jednak jest to epoka, którą nietrudno nam jeszcze rozumieć, bo żyjemy

wśród szczątków jej i jej duchem w znacznej mierze oddychamy. Z jednej strony Kościół i jego potężna organizacja, rozdzielona pomiędzy duchowieństwo świeckie i zakonne, jego wolności, jego przywileje, jego szkoły i jego dobroczynne zakłady — z drugiej władza świecka i jej misterna struktura, oparta na zwierzchności królewskiej i książęcej, na zależnym od niej rozległym feodalnym systemie, wiążącym szeregi jednostek węzłami wierności i honoru, miasta z ich magistraturą, z ich przywilejami, cechami i zgromadzeniami ludowemi, mieszkańcy wsi poddani, lecz poddający się pierwotnie stanowi wojskowemu dla zapewnienia sobie obrony, — co doskonale wyłożył swego czasu Taine, — uniwersytety jako instytucje wyposażone samodzielnością i mieniem dla swobodnego pielęgnowania nauk, sądownictwo rudymentarne zapewne, lecz czynne i pokaźnie się rozrastające — od prostych sądów patrymonjalnych do potężniejących szybko parlamentów, — wszystko to składało się na postać społeczeństwa niesłychanie barwną i ruchliwą, bogato rozkrzewioną, hierarchicznie zróżnicowaną, społeczeństwa, w którego łonie życie mogło nieraz być twarde i tragiczne, ale było istotnie niezmiernie bujne, płodne i silne. Obraz ten zaś byłby nietylko zgoła niekompletny, ale wręcz fałszywy, gdyby nie dodać jeszcze jednego, najważniejszego rysu — mianowicie, że cała ta wielolita różnorodność przejęta była jednym duchem, istotnie ją ożywiającym, — a mianowicie duchem religji, która stanowiła pierścień spajający w realną jedność tę wybujałą mnogość kształtów. Powstające na tem tle walki i konflikty, nawet walki między kościołem a państwem, potwierdzały tylko górujące stanowisko religji i jej wpływ przemożny.

To też przesilenie religijne dało hasło tym ruchom i prądom, które następnie przez cztery wieki kolejnemi falami uderzały w średniowieczną budowę, aż za dni naszych, napozór przynajmniej, zmyły z powierzchni ziemi ostatnie jej ślady. Działające tu siły nie miały charakteru negatywnego wyłącznie, choć wyraźnie burzycielskich zakusów nie brakło i nie braknie. Wszak znane są wszystkim odkrycia i wynalazki z wielkim systemem Kopernika na czele, które współdziałały w stopniowem przeobrażaniu poglądów, urządzeń i stosunków. To też tych rzeczy przypominać nawet nie potrzeba, bośmy jeszcze wszyscy wzrośli pod wpływem podsuwanego nam świadomie lub nieświadomie poglądu, że właściwie w czasach nowożytnych, z ich naukowemi odkryciami, z ich techniką, z ich komunikacjami, z ich podbojem rozległych połaci globu, z ich udogodnieniami życia, z ich wyolbrzymioną produkcją — zapanowała dopiero na serjo cywilizacja. I trzeba było współczesnego kryzysu, powszechnego zubożenia, straszliwego bezrobocia, rozprzężenia w stosunkach gospodarczych, bezradności kierowników państw i międzynarodowych organizacyj, groźnego zaostrzenia walki klasowej, by wielu ludziom zaświtał domysł, że może jednak z tą cywilizacją nowożytną nie wszystko było w zupełnym porządku, że jej brakło koordynacji, brakło form organicznych, brakło stałej równowagi i wewnętrznej harmonji. Dziś już pogląd ten jest przyjmowany bez tych uśmiechów pobłażliwej wyższości, które wielu z nas tak dobrze pamięta, bo nietylko esteci i marzyciele, lecz trzeźwi obserwatorzy faktów dostrzegają, że społeczność ludzka dotknięta jest chorobą, — że czasy nowożytne i najnowsze wiele zdobyły, ale zbyt wiele samowolnie lub nawet złośliwie zniszczyły, i że człowiek współczesny, napozór tak wszechstronnie wyposażony, a jednak tak bardzo odosobniony i rzucony w świat na los szczęścia, niejednego może pozazdrościć skromniejszym swym przodkom w dawnych wiekach.

Zrozumienie tego musi być jednoznaczne z pytaniem, jakie mogą być drogi wyjścia i jakie praktyczne wskazania, — zwłaszcza o ile ktoś myśli nietylko o sobie, lecz o swoim kraju, o społeczeństwie, do którego należy. Więc, wracając jeszcze do faktów, czyż nikogo nie uderza, że na tym jednostajnym i ponurym widnokręgu spółczesności, w którym zorjentować się można jedynie za pomocą cyfr statystycznych, wykazów handlu zagranicznego, sprawozdań banków i ekspertyz specjalistów, — dostrzedz się dają także zjawiska zgoła innego rzędu, tajemniczego pochodzenia i niewyjaśnionego działania, — zjawiska obdarzone wielu własnościami, których brak stanowi istotę obecnego przesilenia, jak ich niezaprzeczona duchowość, płodna organiczność, wielowiekowa stałość promieniowania, mechanicznie nieobliczalna wielostronność — mianowicie pierwiastki narodowe?

Można się było doniedawna, można się jeszcze i dziś spotkać z zapatrywaniem, że rola ich jest skończona, że nie da się zgalwanizować czynników, które wystąpiły na jaw w 19-ym wieku, aktualne były za drugiego cesarstwa francuskiego, a już ostatecznie wyczerpały swoją potencjalność przez odbudowanie Polski, wyzwolenie Czechów, Jugosłowian i Rumunów, nawet Irlandczyków i ostatnich jeszcze nie przyłączonych Włochów. Jakie się możliwości dostrzeże w pierwiastku narodowym, to oczywiście zależeć będzie od tego, jak go kto pojąć będzie umiał. Komu się będzie wydawało, że przez jakie takie zaokrąglenie terytorjum, przez nieustępliwy ton w polityce zagranicznej, a zadzierżystość w wewnętrznej, program „nacjonalizmu“ już jest wypełniony, ten oczywiście pośpieszy się uznać, że hasła narodowe się wyczerpały, że lepiej je nawet przyciszyć, by się narody w nieskończoność nie swarzyły o resztki niezałatwionych sporów, by każda odmienność plemienna, każde odchylenie językowe nie czuło się powołane do występowania z nowym nacjonalizmem.

Sądzimy jednak, że zgoła inne pojmowanie tych rzeczy jest nietylko możliwe, ale jedynie słuszne. Należy uznać, że idea narodowa w razie potrzeby musi umieć z całą mocą zwrócić się na zewnątrz, — lecz że przedewszystkiem winna obowiązywać na wewnątrz, być pierwiastkiem kształtującym, natchnieniem przewodniem w pokonywaniu przeszkód i rozwiązywaniu trudności, myślą wcielającą się w poczynaniach i dokonaniach danego społeczeństwa, — a wówczas zrozumiemy łatwo, że nie jest ona doraźnem hasłem politycznem, lecz potężnym pierwiastkiem cywilizacyjnym, posiadającym może rozstrzygające znaczenie dla spółczesności.

Z natury rzeczy, tyle ile kwestja ogólna, interesuje nas konkretna, jakie mianowicie są widoki Polski na odbudowę i rozwój swoistej cywilizacji? I otóż tu również odpowiedź brzmieć może pozytywnie, a przynajmniej niezmiernie zachęcająco. Nie przypadek to, że najznakomitszy człowiek polityczny współczesnej Polski tak jasno przewidział i dokładnie określił nadchodzące przesilenie, — skłonność, ale i zdolność do głębokich przewidywań zdaje się wogóle być właściwością Polaków — może od czasów Skargi.

Zresztą, jak niejednokrotnie podniesiono, tem się właśnie Polska odznacza, że ze wszystkich narodów europejskich z natury rzeczy najmniej była wrośnięta w ten porządek rzeczy, który przedewszystkiem jest dotknięty przesileniem, bo Polska nie była narodem bogatym, nie była z tych, które podbijały i dzieliły między siebie rynki, ani z tych, które szafowały kredytem, ani z tych, które zagarnęły dla siebie najbogatsze przestrzenie, ani z tych, które się dorabiały na wymianie towarów. Otóż cywilizacja oczywiście nie może być jednoznaczna z nędzą, — ale może się rozwinąć cywilizacja narodów ubogich, to jest takich właśnie, które pierwsze zdołają nałamać się do nowych konieczności i wybrnąć z beznadziejnej nędzy. A Polska ma w przeszłości swojej zadatki wytworzenia niezmiernie oryginalnej, niezmiernie swoistej cywilizacji. Jakiekolwiek refleksje nasuwać mogą jej dzieje polityczne, nie ulega wątpliwości, że życie polskie w ubiegłych wiekach było niesłychanie oryginalne, niezmiernie bujne i barwne, od wszystkiego, co je otaczało silnie się odcinające. Czy weźmiemy strój i obyczaje, czy literaturę i życie domowe, czy sztukę wojenną i organizację polityczną, zawsze formy bytowania miljonowego narodu szlacheckiego w Rzeczypospolitej pod królem przedstawią się nam jako coś zgoła samorodnego i niezmiernie uderzającego. A jeżeli zgoła zestawimy arcydzieła, które odzwierciedliły to życie z analogicznemi dziełami literatur obcych,—np. „Pana Tadeusza“ z „Hermanem i Dorotą“—lub „Eugenjuszem Oneginem“,—wtedy przekonamy się, że polska przeszłość, — jakiekolwiek jej wady i grzechy, — dokonała jednego wielkiego arcydzieła prawdziwej cywilizacji, mianowicie skutecznego rozprowadzania żywej krwi po wszystkich komórkach organizmu społecznego. Wszak istnienie jest równie pełne i ciekawe, równie rozedrgane i ożywione w Dobrzynie, czy w Soplicowie, czy na zamku Horeszkowskim, — nikt tam nie ziewa, nikt nie tęskni do Petersburga, chyba Telimena — dla potwierdzenia reguły.

Otóż nie chodzi o zawracanie, zwłaszcza sztuczne, do przeszłości, bo toby się przedewszystkiem nie udało; ale kto wie, czy wobec jawnego załamywania się tego mechanicznego porządku, który dotychczas zdawał się wszechwładny, a którego wpływ na życie społeczne tak widocznie okazał się niwelacyjny i wyjałowiający, te narody najprędzej nie uporają się z trudnościami nowego położenia i nie wejdą na drogę cywilizacji przyszłości, które sobie najskuteczniej przypomną, że nie zawsze tak się żyło, jak w pierwszych latach bieżącego stulecia, które zaapelują do wielu subtelniejszych źródeł siły, twórczości i gospodarczego przewidywania, przytłumionych maszynowym rozpędem świata. Zarzucić można, że nikt cywilizacji na obstalunek nie tworzy, i to wielka prawda, ale chyba jasnem jest, że na polu gospodarstwa narodowego, wychowania, prawodawstwa, polityki i wojskowości, a także fiskalności, administracji i samorządu, nie mówiąc już o nauce i sztuce, można ją umiejętnie pielęgnować i przygotowywać, a można niszczyć same jej podstawy.

Zdaje się więc, że pokolenie, które obecnie wstępuje w życie, dobrze się zasłuży wobec przyszłości, gdy nauczy się patrzeć na objawy życia dużo ściślej, dużo mniej szablonowo i dogmatycznie niż to bywało w przeszłości, bo czasy operowania wyłącznie masami, wyłącznie hurtem, wyłącznie przeciętnemi, zdają się mijać, — a wiele na to wskazuje, że do praw swoich powróci cywilizacja—jedyna prawdziwa, przynosząca z sobą usprawiedliwienia wielu sił i pierwiastków przez wiek mas i maszyn lekkomyślnie wzgardzonych. A wyjdzie przytem na jaw niechybnie, że duch narodowy, którego natchnienie okazało się niezastąpionem dla rozwoju właściwej kultury — w piśmiennictwie, w poezji, w sztuce — powołany jest do rozlania szerzej i głębiej swego wpływu, do wcielenia się, tak jak to stało się pierwotnie, tylko już bardziej świadomie i umiejętnie w cały typ życia, urządzeń, obyczajów, w metody pracy i organizacji, w sposób rozwiązywania zagadnień, nastręczanych przez rzeczywistość, nie wyłączając zagadnień politycznych. Płonną byłaby obawa, że ten apel do pierwiastków duchowych, do czynników subtelnych i na razie nieuchwytnych może oznaczać osłabienie narodu i jego odporności na zewnętrzne napory i ciosy. Jest chyba rzeczą zbyteczną tłumaczyć, że w najdrobniejszych komórkach i tkankach tkwi siła każdego materjału, — podwójnie zbyteczne w czasach, które zaczęły odgadywać nawet w materjalnym świecie olbrzymiość intratomicznych energij.

Warunkiem takiego rozwoju jest jedno jeszcze, mianowicie współdziałanie tej siły, która porządkuje i utrzymuje wszelkie duchowe życie, — a jest nią religja. Otóż i tu, być może, że nasz naród większemi jeszcze od innych rozporządza nienaruszonemi zasobami. I dalszy warunek uporania się z trudnościami obecnej doby posiadać się zdaje. Problemów idących czasów on pierwszy począł się domyślać. Wszak blisko przed wiekiem myśl polska postawiła pytanie: „Święty Boże, cóż się dzieje w świecie“? I już wtedy nie zawahała się co do odpowiedzi.

ADAM ŻÓŁTOWSKI

O BOLESŁAWIE PRUSIE

I JEGO POGLĄDACH NA POEZJĘ

BYŁEM wtedy studentem uniwersytetu warszawskiego, kiedy w petersburskim „Kraju“, niechętnie w Warszawie czytywanym, bo ugodowym, ukazał się szereg wspomnień i rozprawek, poświęconych Adamowi Mickiewiczowi z okazji trzydziestej rocznicy jego śmierci. Były te rzeczy ucztą, na którą nie mogły sobie pozwolić czasopisma warszawskie, pilnie przez cenzurę od Mickiewicza strzeżone. „Kraj“ cieszył się pewną protekcją, zresztą podlegał cenzurze petersburskiej, która co do rzeczy polskich nie miała tak szczegółowych, jak Warszawa, instrukcyj. „Kraj“ przytem miał koło siebie W. Spasowicza, który rocznicę mógł redakcji przypomnieć i dać miarę wielkiemu zdarzeniu życia i śmierci Mickiewicza.

W Warszawie o Mickiewiczu wiedziało się niewiele. Nie uczono przecież literatury polskiej w szkołach. Był mitem, znanym z dzieł i z życia tylko fragmentami. Pierwsza monografja o Mickiewiczu Piotra Chmielowskiego jeszcze się była nie ukazała;

wyszła dopiero na gwiazdkę 1885 r. Józef Kotarbiński pisał o niej w „Kraju“ w listopadzie na podstawie rękopisu i arkuszy korrektowych. Chmielowski dopiero pokazał szerokiemu ogółowi, kim i czem był Mickiewicz.

Artykuły, które w „Kraju“ wtedy na jesieni się ukazały, wyszły potem w roku 1898 razem zebrane i uzupełnione w bardzo interesującym zbiorku p. t. „Książka zbiorowa ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę urodzin poety“. (Petersburg 1898. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego). Znalazła się tam na końcu rozprawa Bolesława Prusa p. t. „Farys“, napisana 18 listopada 1885 na trzydziestolecie śmierci Mickiewicza. O ile wiem, nie była ona nigdy potem w druku powtórzona. My ją teraz podajemy w całości w tym zeszycie, w którym pragnęlibyśmy, acz w terminie trochę opóźnionym, przypomnieć smutną rocznicę śmierci jej autora. Bolesław Prus zmarł 20 lat temu— 19 maja 1912 r. Na grobowcu jego napisano: *Cor cordium.*

Gdy to piszę, przez głowę przebiega mi film wspomnień osobistych. Na parę lat przed rokiem, w którym Prus pisał swego „Farysa“, kiedy jako uczeń gimnazjum przybyłem do Warszawy, patrzyłem w domu stryja na dziwny obrządek z „Kurjerem Warszawskim“ — z niedzielnem jego wydaniem. Już w sobotę wieczorem mówiło się o tem, że rano będzie „kronika Prusa“. Twarz stryja, gdy to mówił, rozśmiewała się takiem zadowoleniem, jakiego nigdy nie widywałem na jego majestacie. Niedzielny poranek warszawski był taki miły, jakby słońce po sześciu dniach pierwszy raz się ukazywało. Stryj już zgóry się śmiał, zasiadając w szlafroku do czytania i wszyscy byli radzi jego komentarzom i wybuchom zachwytu. Zwykle wesoło się tylko zaczynało, bo potem trzeba było myśleć, ale nikt na to nie narzekał. O tej godzinie cała Warszawa dzięki Prusowi myślała i wzruszała się. Prus dawał rytm życiu duchowemu Warszawy, był tętnem jej serca, dlatego Warszawa nie mogła inaczej go nazwać, jeno sercem serc.

Z czasem, jako młody dziennikarz, wsłuchiwałem się w Ratuszu w wykład Prusa o ideale doskonałości (1900). Bardzo mi pochlebiło, gdy Prus po przeczytaniu mego streszczenia w „Kurjerze Warszawskim“ podziwiał, że dziennikarz potrafił go tak zrozumieć; dlatego potem wcieliłem to streszczenie w całości do książki „Współcześni“, wplatając je w szkic o Prusie. A ten szkic pisałem w głębokiem poruszeniu, gdym w Karlsbadzie dowiedział się o śmierci tego wielkiego pisarza. Pisałem po dziennikarsku, na użytek „Słowa Polskiego“, dzieląc się najogólniejszem wrażeniem, jakie na mnie robił jako człowiek i pisarz.

Stanął mi wówczas w oczach obraz osieroconej Warszawy i naszego biednego życia w zaborach, kiedy serce, przeznaczone do wielkiego organizmu narodowego, nie mogąc przezwyciężyć złego obiegu krwi, dusi się z braku powietrza i zapada. Angina warszawska. Fale Prusa nie przekraczały zaboru; serce, które chciało obsłużyć cały świat, nie było słyszane już w innych dzielnicach.

Historycy naszej kultury umysłowej mało uwagi zwracają na to, jak myśmy wyglądali ze swoją pracą ducha podczas istnienia kordonów. Prus był znany tylko w zaborze rosyjskim. Z polonistów galicyjskich zajął się nim serdecznie jeden tylko zacny Konstanty Wojciechowski. Nie liczę Feldmana, który chciał być uniwersalny i zawodowo systematyzował zjawiska bieżące. W Wielkopolsce Prus do dzisiaj pewno jest nieznany.

W Warszawie zajmowali się Prusem z tytułu koleżeństwa i urzędu rejestracyjnego w literaturze: Piotr Chmielewski i Ignacy Matuszewski, ale — rzecz charakterystyczna — do stawiania mu pomnika wziął się kto inny — z tytułu miłości. Nie był to krytyk. Monografję o Prusie napisał dziennikarz, nie literat zawodowy, Ludwik Włodek,[1]) późniejszy konsul Rzpltej w Monachjum. Był to hołd, złożony przez niego w imieniu szerokich mas czytelników, którzy Prusa kochali i pragnęli go sobie uprzytomnić i zrozumieć. Szara ta napozór książka jest mądra, docieka bowiem istoty Prusa jedynie wskazaną drogą, idąc za nim śladami tej miłości, z którą on szedł do czytelników. Ludwik Włodek był demokratą narodowym, należał do obozu, który z Prusem publicystą politycznie się nie godził. Według opinji, jaką temu obozowi wyrobiła masonerja z p. Żeleńskim-Boyem, wypadałoby, iż Prus został otruty przez „endeków“, jak Mickiewicz, i przez nich był grążony w niepamięć. A jednak pierwszym krytykiem, który nazwał Prusa genjuszem, był to wódz wszechpolaków J. L. Popławski: „Prus jest nietylko genjalnym powieściopisarzem, ale również genjalnym publicystą, a nawet genjalnym krytykiem“.[2]) Książka Włodka, przepojona uwielbieniem dla Prusa, jest dotąd jedynem źródłem informacyjnem o jego życiu i twórczości. Teraz dopiero przystąpiono do pracy systematycznej nad Prusem: studjum o „Lalce“ Zygmunta Szweykowskiego, warszawianina, jest zapowiedzią dalszych prac, na które oczekujemy z upragnieniem.

Przez Prusa otwiera się widok na wszystkie zjawiska literackie w przebiegu dziejów twórczości polskiej aż do Reya. Od czasu upadku Polski literatura nasza rozdwoiła się: tu na ziemi porastała jedna, niepozorna, jak trawa, ściśle odpowiadająca rodzimym warunkom gleby i klimatu, a druga emigracyjna znalazła się gdzieś w stratosferze, ponad szarą sferą rzeczywistości. Prus był już tym, który w sobie złączył oba pasma dziejów, a pogłębienie, jakie dał swym utworom, odpowiadało wysokości wzlotów romantyzmu emigracyjnego. Jak woda górskiego jeziora, brał w siebie w odbiciu śnieżne szczyty romantycznej improwizacji i filozofji idealistycznej. Było to nie tylko odbicie: odwracał w głąb dziwne pomiary nieba, czynione przecież przez takich ludzi jak on, który robił pomiary ziemi. I on i oni szukali miejsca dla wielkiej cywilizacji polskiej. Ta sama krew, ten sam duch, te same motywy, choć różne metody.

Patrzcie na drogę przebytą, jak pięknie łączy się w dziejach to, co duch w największem napięciu poszukiwania prawdy dokonywa. Przecież były spory między okresami: romantyzm kłócił się z wiekiem oświecenia, pozytywizm z romantyzmem, a jednak — patrzcie — Jan Śniadecki i Bolesław Prus — to tylko dwa przyczółki mostowe, dwa przęsła, murowane rozumem, tego wspaniałego łuku podniebnego, którym jest Mickiewicz. Przebyliśmy drogę nad przepaścią, pnąc się wciąż w górę. I tak było nawet w świadomości tych wielkich ludzi, że żaden nie odmówił poprzednikowi znaczenia wychowawcy narodu.

---

[1]) Ludwik Włodek. Bolesław Prus. Zarys społeczno-literacki. Warszawa (1918).

[2]) J. L. Popławski. Szkice literackie i naukowe.

Aforyzm Mickiewicza „Mierz siły na zamiary“ — to według Prusa suggestja dla młodych towarzyszy, że są zdolni do wielkich rzeczy. Prus w tem znaczeniu był też romantykiem; i on był wychowawcą narodu. Wielki ten poeta — według Prusa — był zarazem „administratorem, mężem stanu, w ojczyźnie rozsypywał najpiękniejsze, najszlachetniejsze ziarna wszechludzkiej cywilizacji“.

A Ludwik Włodek, z poziomu młodszego pokolenia, notując te słowa Prusa, robi uwagę: „Jest coś głęboko wzruszającego i świadczącego o głębokiej jedności narodu w tym hołdzie, składanym przez najznakomitszego i najczystszego przedstawiciela epoki pracy organicznej takiemuż przedstawicielowi romantyzmu!“ (s. 86).

Za co przedewszystkiem Prus czcił Mickiewicza? Za to, że zasadą rządów jego duszy była miłość. Włodek zaś stawia trafną tezę w pytaniu: „Czy w tym kulcie niema powinowactwa głównej cechy obu pisarzy?“ Tak, Prus i Mickiewicz mieli jednaką budowę ducha. Prus widział w Mickiewiczu wielkiego artystę, a jego siłę twórczą upatrywał w miłości.

„W Mickiewiczu“ — pisał — „było jedno uczucie, stanowczo górujące nad innemi, mianowicie — miłość. Człowiek ten zdawał się kochać wszystko: od źdźbła trawy na łące do gwiazd na niebie. Kochał pola, zioła, motyle, ptaki, lasy, młyn nad stawem i żaby w stawie; kochał drzewa, zwierzęta i ludzi, słowem — kochał całą swoją Litwę nie tą miłością, która zamyka łzawe oczy i wzdycha, ale tą, która trzeźwo patrzy, widzi jasno i pamięta“.

Tej miłości odpowiada siła wyobraźni artystycznej: Mickiewicz widział, słyszał, czuł to, co pisał, więc w poezji nie notował nastrojów tylko i wyobrażeń, ale rzucał żywe konkrety. Tutaj Prus znalazł klucz do rozumienia, na czem polega mistrzostwo poety. Rozbiór gramatyczny utworu jest u niego podstawą czynności krytyki literackiej, jedną z podstaw jego poetyki i wogóle teorji nauki o literaturze. Jest to jedno z genjalnych swoją prostotą odkryć estetycznych, zamało w nauce literatury uwzględnianych.

„Mickiewicz“ — powiada Prus — „używa mnóstwa rzeczowników, które stanowią prawie trzecią część ogółu wyrazów i między któremi znajduje się bardzo wiele rzeczowników takich, która oznaczają realne przedmioty. O trzecią część mniej, aniżeli rzeczowników, znajduje się u niego słów (-(czasowników)-), a całkiem niewiele przymiotników, któremi my, zwyczajni literaci, staramy się przyozdabiać nasze dzieła. Obfitość rzeczowników sprawia, że język Mickiewicza jest podobny do rzeźby, wykonanej w szlachetnym materjale“.)

Jest to urywek z jego kroniki tygodniowej (6 stycznia 1899) po odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie. Studjum na podstawie którego doszedł do tego wniosku, napisane kilkanaście lat wcześniej, podajemy poniżej. Warto bowiem przyjrzeć się sposobom, któremi myślący intuicyjnie Prus w sądach swoich się utwierdził. Zgodzimy się wszyscy na to, że jakkolwiek jego metoda statystyczno-gramatyczna przedstawia niebezpieczeństwo jednostronności, to jednak ścisłość myślenia pozytywistycznego dokonała wielkiego postępu w naukach humanistycznych, nawet w krytyce literatury. Prusa uważać trzeba za twórcę metody psychologicznej badania literatury. On wyrwał estetykę scholastykom i dotarł z nią do żywej duszy człowieka — zarówno twórcy, jak i odbiorcy.

Terenem, źródłem i celem sztuki jest dusza ludzka. Artystą jest ten, kto potrafi grać na tej duszy. Pisząc o talencie Sienkiewicza, Prus tak się wyraził:

„Gdyby duszę ludzką porównać z organem, a zwykłego pisarza z amatorem, który jednym palcem wygrywa marsza, częstokroć fałszując melodję, to Sienkiewicz jest wirtuozem, który gra obu rękoma, trąca wszystkie klawisze i niezrównanej piękności dźwiękami wypowiada całe dramaty, jakieś symfonje dziejowe. Jego akordami są potężne uczucia: miłość, nienawiść, odwaga, rozhukana radość, bezdenny smutek, duma, skrucha. Jego melodjami: walka, obowiązek, poświęcenie, pogarda śmierci“...

Warto jest posłuchać wielkiego mistrza, który umiał zastanawiać się nad tem, co robi Kto był dla Prusa poetą?

„Poetą jest ten, kto jasno widzi i jasno opisuje każdy prąd i każdą falę w tym odmęcie, który nazywa się życiem społecznem i kto w owych prądach i falach nie tylko odróżnia pojedyncze krople, nazywające się ludźmi, ale jeszcze widzi duszę każdego z nich— kto potrafi zapomocą zwięzłych a melodyjnych zdań i pięknych wyrazów przedstawić ukryte przed zwykłemi oczyma ludzkie pragnienia i obawy, cierpienia i radości, walkę, klęski i trjumfy, jakie odnosi dusza bądź nad samą sobą, bądź nad swojem otoczeniem.

Poetą jest nareszcie ten, kto nawet w naturze, zwanej martwą, widzi nie tylko życie, ale jakąś wolę, która c h c e i jakieś niewidzialne serce, które c z u j e“...

Przytaczam obszerniej poglądy Prusa na twórczość, bo one wpadają, jak promień słońca, do naszych pracowni literackich, szukających w artyzmie ucieczki od — poezji. Prus, jako esteta i krytyk dzielił się z literatami swojem doświadczeniem pisarskiem. Jest to nauka bardzo wysokiej klasy. Toteż trudno wyjść z podziwu, że wydawcy Prusa dotąd nie zebrali w jedną całość jego rozpraw literackich. Tom taki byłby godnem uczczeniem pamięci wielkiego pisarza.

ZYGMUNT WASILEWSKI

„FARYS” MICKIEWICZA

I

NIE PIERWSZY i nie ostatni raz człowiek pyta się: na czem polegają istotne cechy poezji? [1] Czem się to dzieje, że zadrukowana kartka papieru, niby tajemnicze zaklęcie z bajki, otwiera przed nami świat inny od rzeczywistego? Świat, w którym łatwiej się rozpatrujemy, którego mieszkańcy posiadają charaktery wyraźne, w którym myśl nasza pracuje mniej, ale za to uczucia grają żywiej i rozmaiciej, aniżeli w świecie rzeczywistym.

Oto i teraz naprzykład. Czy ja raz siedziałem w tym pokoju wąskim i długim, wśród półek zawalonych książkami, przy tym stole i lampie? Czym raz patrzył na skórzaną poduszkę i na psa, który obok niej drzemie? Czym raz słyszał turkot przejeżdżających wozów na ulicy, dzwonek w bramie, rozmowę sług na podwórzu? Wszystko to setki razy uderzało moją uwagę, lecz w rezultacie wszystko to równie mi jest mało znane dziś, jak dawniej. I gdyby kto spytał: jakie są charakterystyczne cechy tych ścian, stołów i półek, dorożek na ulicy

[1]) Po latach dwudziestu życia pośmiertnego Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego) dajemy głos wielkiemu pisarzowi i jego epoce, przedrukowując mało znaną rozprawę jego z zakresu poetyki (1885). Genjalne wejrzenie Prusa w istotę sztuki po wszystkie czasy będzie przez artystów i teoretyków literatury cenione. — Red.

i stróża w bramie? w niemałym znalazłbym się kłopocie, chcąc być dokładnym.

Ale biorę do ręki „Farysa". Ledwie odczytałem pierwsze wyrazy, znika pokój i lampa, milkną uliczne głosy i widzę całkiem nową miejscowość. Oto niezmierzona równina piasków — pustynia. W dali kilka palm, bliżej szereg kamieni, na niebie biały obłok i szary punkcik, którym jest sęp odlatujący. Odwracam oczy w inną stronę. Oto piaszczyste wzgórze, z którego wychyla się gromada ludzkich i końskich szkieletów, a dalej kręcący się na miejscu słup kurzawy. Na przestrzeni między palmami a piaszczystym cyklonem, szybko posuwa się jakiś punkt. To „Farys", arab, zapewne o śniadej twarzy, orlim nosie i pałającem spojrzeniu. Na czarnym koniu z białemi nogami, pędzi on jak burza.

Nigdy nie rozmawiałem z tym człowiekiem, a mimo to wiem, że jest on wytrzymały na głód, pragnienie, niestrudzony w biegu, dumny i pogardliwy w stosunkach, że opętało go szaleństwo prędkiej jazdy, że ucieknie od palm, przestraszy sępa i poszarpie cyklon... Po co? Ażeby odetchnąć powietrzem, którego nie kosztowały ludzkie płuca, widzieć dokoła siebie tylko samotność, a nad sobą gwiazdy.

Czy w rzeczywistości widziałem pustynię i araba na koniu? Wcale nie. Mała kartka papieru była tem oknem, przez które w ciągu kilku minut poznałem nową okolicę, nowego człowieka, nowe uczucia i pragnienia. Ach, widziałem jeszcze ten dziwny świat, w którym koń jest zbudowany z chmury i błyskawic, świat, w którym uśmiechają się palmy, obłok zazdrości swobody człowiekowi, a wstydzą się nawet kamienie. Paręset wierszy poematu stworzyło w mojej duszy ideę, z zawartemi w niej uczuciami. Na wydobycie czegoś podobnego z rzeczywistości potrzebowałbym przejechać tysiące mil i długi czas obserwować wiele wyjątkowych zjawisk.

Więc naprawdę mam do czynienia z cudem? Więc siła poezji tkwi w jakimś „sezamie", a jej dziedzina jest eterycznym światem, gdzie można pieścić zmysły, wzlatywać wyobraźnią, kąpać serce, lecz który wobec rozsądku znika, jak duch pokutujący na zapienie koguta. Więc w epoce ścisłych badań i jasnych definicyj muszę wierzyć, że poezja „nie bada się, tylko odczuwa"?...

Nie. Wprawdzie głęboko odczuwam piękności poezji, ale wolałbym ich wcale nie odczuwać, aniżeli nie badać. Znacie instrument zwany arystonem? Jest to pozytywka, odgrywająca niezliczoną ilość sztuczek, pod tym wszakże warunkiem, ażeby na nią zakładać co raz to nowy patron. Patron zaś jest kółkiem, podziurawionem przez współśrodkowe nacięcia, mające kształt kresek i kropek. Nacięcia te, same przez się, nic nie znaczą; lecz gdy przypasujesz je do arystonu i pokręcisz korbą, staną się palcami, zdolnemi wygrać na klawiszach machiny najrozmaitsze melodje. Takim arystonem, rozumie się idealnie doskonałym, jest duch ludzki, a kartka drukowanej poezji — patronem. Jeżeli zaczniesz je czytać, rozumiejąc naturalnie język, każdy wyraz stanie się palcem, który uderza nie w jeden, lecz w dziesięć klawiszów i rozbudza olbrzymią w duszy melodję.

Czar poezji, to, co się w niej „odczuwa", tkwi w duszy czytelnika; ale poemat, czyli patron, jest tylko narzędziem, które doskonale można „badać". Jest on narzędziem do obudzenia w duszy pewnych wyobrażeń i pojęć, uporządkowanych w ideę i skojarzonych z uczuciami.

II

Przedewszystkiem poznajmy materjał, z którego poeci wyrabiają owe narzędzia. Jest nim mowa, która posiada dwie bardzo ciekawe cechy.

Mowa składa się z wyrazów, a większa ich część ma własność budzenia naszych zasobów pamięciowych. Gdy powiem wyraz: l e c i, wnet przypominam sobie „ruch" przedmiotów, odbywający się w powietrzu. Wyraz: c z a r n y, wskrzesza w pamięci przedmioty tego „koloru", co węgiel i sadze. Gdy zaś powiem: p t a k, przypomnę sobie istotę, mającą parę szczupłych nóg, tułów pokryty pierzem, parę skrzydeł, głowę z dzióbem i mnóstwo innych cech. Każdy z trzech wymienionych wyrazów może obudzić ogromną liczbę wspomnień z zakresu rozmaitych wrażeń zmysłowych, uczuć, albo myślowych definicyj. Liczba ich zależy od siły i świeżości naszej pamięci. Z tem wszystkiem łatwo dostrzec, że „rzeczownik" p t a k, budzi daleko więcej wspomnień, aniżeli „przymiotnik" c z a r n y, albo „słowo" l e c i. Jeżeli zaś w miejsce wyrazu: p t a k, powiemy naprzykład: b o c i a n, to ten drugi rzeczownik obudzi w nas daleko „wyrazistsze" wspomnienia, aniżeli pierwszy. Prawie zobaczymy b i a ł y, o w a l n y tułów, c z a r n e skrzydła, długą szyję, w y s o k i e i c z e r w o n e nogi, o s t r y dziób i p o w o l n e ruchy tej istoty, dalej „słyszymy" jej k l e k o t a n i e, a jeżeli mamy odpowiedni zasób doświadczeń, możemy jeszcze przypomnieć sobie c i e p ł o bocianiego ciała, s z o r s t k o ś ć piór na skrzydłach, b ó l od uderzenia dziobem i tak dalej.

Z powyższego przekonywamy się, że „przymiotniki" i „słowa" brane pojedyńczo, budzą w duszy naszej drobne fale myśli i uczuć. Falowanie to potęguje się pod wpływem „rzeczowników" nawet dosyć abstrakcyjnych (np. ptak). Ale dopiero „rzeczowniki" bardziej konkretne (np. bocian), wywołują w naszej duchowej istocie prawdziwą burzę wspomnień, pobudzają nas nieledwie do jasnowidzenia wszystkiemi zmysłami, do uczucia wszystkiemi nerwami.

Pobudzanie umysłu do ruchu, odtwarzającego nasze dawniejsze doświadczenia, jest główną cechą mowy, a razem jej najwyższą zaletą. Na nieszczęście mowa posiada i wielką wadę: jest pełna balastu.

W świecie rzeczywistym odróżniamy trzy elementy: przedmioty, własności i zjawiska; nasz zaś umysł elementy te musi rozpatrywać w pewnych formach, zwanych stosunkami. Do duchowej więc pracy wystarczają nam cztery elementy, a tymczasem nawet w naszym języku znajdujemy aż dziesięć części mowy. Jasna rzecz, że z tego bogactwa co najwyżej 40% posiada treść realną, a 60% jest tylko obciążającym, choć niestety! nieuniknionym balastem. To też jednym z zasadniczych sekretów pisarskich jest ten, aby pisząc, jak najmniej używać balastu wody i trocin językowych, a jak najwięcej treści realnej, pożywnej dla ludzkiego umysłu. Dla zrozumienia natury poetycznego języka, przytoczmy kilka początkowych strof z „Farysa":

„Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi
Znowu po modrym zwija się kryształe,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi

Szyją łabędzia buja ponad fale,
Tak arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca"...

„Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska".

Strof tych, i całego poematu, i wogóle zresztą poezji Mickiewicza, właściwie nie czyta się, ale się je widzi, słyszy, dotyka i czuje wszystkiemi nerwami. Dlaczego? Dlatego, że język jest jasny i jędrny.

Między publicznością panuje mniemanie, że język poezji musi być ładny i wyszukany. Tymczasem cóż znajdujemy u Mickiewicza? Oto rzeczowniki: łódź, ziemia, kryształ, szyja, łabędź, szum, woda, stal, chmura, gwiazda, nogi, pióra strusie, błyskawice. Albo przymiotniki: wesoły, modry, lubieżny, piasczysty, gorący, burzliwy. Albo słowa: uciekać, zwijać się, obejmować, bujać, tonąć, błyskać. Wyrazy te są najprostszemi, znanemi wszystkim, nazwiskami przedmiotów, własności i zjawisk, również znanych wszystkim ludziom. Nie potrzebują one żadnych objaśnień, każdy bowiem, zamknąwszy oczy, może „zobaczyć" znaczenie wyrazów: łódź, koń, wiosło, gwiazda i im podobnych. Każdy we własnym pokoju może powtórzyć zjawiska: uciekania, obejmowania, bujania. Słowem: prawie każdy wyraz Mickiewicza posiada treść realną, budzi mnóstwo konkretnych wspomnień. Silne a częste uderzenia młotów mogą do czerwoności rozgrzać żelazo; nic zatem dziwnego, że taki grad wyrazów realnych może w najwyższym stopniu podniecić duszę czytelnika. Słabe wspomnienia, nakładając się warstwami jedne na drugich, potęgują się wzajemnie i tworzą proces psychiczny, bardzo zbliżony do halucynacji. Zobaczmy teraz, na czem polega jędrność języka.

Realną, pożywną część mowy stanowią: rzeczowniki, przymiotniki i słowa; najrealniejszym zaś pierwiastkiem, który budzi najwięcej wyrazistych wspomnień, są rzeczowniki, osobliwie te, co oznaczają nazwiska przedmiotów. Otóż u Mickiewicza na 100 wyrazów przypada:

Rzeczowników	30 — 39
Przymiotników	8 — 12
Słów	12 — 21

Nie popełnię nieścisłości, przyjmując u tego poety średnio:

38% rzeczowników,
9% przymiotników,
15% słów i imiesłowów.

Razem 62% wyrazów znaczących, a 38% nieznaczących (zaimki, liczebniki i części mowy nieodmienne). Rachunki te pozwoliły mi odkryć dość ciekawe zjawisko. Wiadomo, że estetycy bardzo szanują tak zwaną „złotą proporcję", która istnieje podobno we wszystkich dziedzinach piękna, a przynajmniej w muzyce i architekturze. Polega ona na tem, że całość dzieli się na dwie części w ten sposób, aby całość była w takim stosunku do części większej, jak część większa do mniejszej:

$$a : x = x : a - x.$$

Podzielmy według tej zasady liczbę 100, a otrzymamy dwie części 62 i 38. Podzielmy w ten sposób 62, a otrzymamy 38 i 24, podzieliwszy zaś 24, otrzymamy liczbę 15 i 9. Liczby te ułóżmy w szemat:

100 {
  62 {
    38 — Rzeczowników,
    24 { 9 — Przymiotników,
         15 — Słów,
  38 — Wyrazów nieznaczących.

Co pokazuje, że liczebny stosunek różnych wyrazów w poezjach Mickiewicza waha się, a w niektórych okresach ściśle odpowiada regule „złotej proporcji".

W każdym zaś wypadku język Mickiewicza jest szczytem jędrności. Ze względu na możliwie znaczną ilość rzeczowników konkretnych, jest to język granitowy. Język ten, jako machina do wywoływania wyobrażeń i uczuć, zbliża się do ideału: wywołuje bowiem w duszy czytelnika *maximum* użytecznej pracy.

III

Dlaczego ów świat nierzeczywisty, jaki tworzą poeci, jest tak wyraźnym? Dlaczego przedmiot opisany przez poetę pojmujemy odrazu, podczas gdy wobec przedmiotów rzeczywistych doznajemy uczucia kłopotu? Gdy mi kto każe scharakteryzować na mocy moich własnych spostrzeżeń jakiegoś rzeczywistego konia, będę mu się długo przypatrywał i niełatwo znajdę odowiednią definicję. Tymczasem o koniu Farysa mówię bez zająknienia, że był on czarny, z białemi nogami i gwiazdką na czole, że był niemożliwie prędki i bajecznie niestrudzony.

Przyczyna jest prosta. Koń rzeczywisty, znajdujący się w stanie spokoju, jako istota żywa, a w dodatku żyjąca w ludzkiem społeczeństwie, może być charakteryzowany z ogromnie wielu punktów widzenia, których liczbę wypadłoby oznaczyć co najmniej na sześćset i to w ogólnych zarysach. Koń zaś Farysa ma zaledwie kilka cech, z których jedne odnoszą się do jego piękności, inne do szybkości i siły, a co najważniejsza, w danych warunkach zupełnie wystarczają. Ponieważ w dodatku cechy te nie myśmy z pracą odkrywali, ale dał nam je poeta gotowe, ponieważ kojarzą się one z wieloma przedmiotami i zjawiskami w samym poemacie, pojmujemy je więc i pamiętamy łatwo. Ta zaś „łatwość" jest jedną z wielkich estetycznych przyjemności, jak znowu „trudność" pojęcia, kłopot w wyborze i zapamiętaniu, rodzi uczucia przykre, nieestetyczne.

Dzięki tej łatwości, z jaką chwytamy cechy przedmiotu opisywanego przez poetę, estetyczną jest nawet straszliwa gromada szkieletów w pustyni, albo sęp, albo ów obłok, który „jak trup zczerniał i w górach się schował". Pomimo swoich niewątpliwie brzydkich stron, one podobają nam się, ponieważ łatwo pojęliśmy je i łatwo skojarzyli z ich otoczeniem. To nam tłumaczy, dlaczego w poezji opis, nawet wstrętnych przedmiotów, dostarcza nam obok pewnej dozy goryczy, pewną dozę estetycznego zadowolenia. Zadowolenie będzie zupełnem, jeżeli poeta, zamiast brzydkich, opisuje przedmioty piękne: kryształy, pióra strusie, błyskawice, łódź wesołą, co pierś morza obejmuje wiosły lubieżnemi, albo wstydliwą palmę, co szmerem liści się uśmiecha.

(Dok. n.)

BOLESŁAW PRUS

NA WIDOWNI

Nowe święto „ponadwyznaniowe". — Dzień Oszczędności. — Potrzeba „ponadwyznaniowego" kalendarzyka. — Międzynarodowa poezja. — Oszczędność jako ideał moralny. — Jak i jaką oszczędność należy ułatwiać, i co się w tym kierunku robi.

RZUCIŁEM okiem na notatkę dziennikarską:

„Międzynarodowy Instytut Oszczędnościowy w Medjolanie wydaje co roku pieśń o oszczędności, przygotowaną przez jedno z państw-członków Instytutu. W tym roku kolej przypadła na Polskę. Pieśń skomponowana przez A. T. Adama do tekstu M. Czerwińskiego, wydana jest nakładem instytutu i na jego życzenie będzie w Dniu Oszczędności (31.10) nadana przez Polskie Radjo, przyczem transmitować ją będą równocześnie na wszystkie europejskie rozgłośnie".

A więc mamy jeszcze — „Dzień Oszczędności"! Od czasu, kiedy w imię „wzmożenia produkcji" przystąpiono do kasowania odwiecznych świąt chrześcijańskich, liczba tych „Dni", szerzących hasła moralności „ponadwyznaniowej", „ogólnoludzkiej", rośnie niczem grzyby po deszczu ulewnym. Raz po raz: to Dzień Matki, to Dzień Dziecka, a wszystko zawsze „zainicjowane", „uchwalone" przez jakieś międzynarodowe konferencje, wszystko ma wyznaczony zgóry dzień w roku, do którego już państwo każde potulnie zastosować się musi. Wkrótce trzeba będzie wydawać kalendarzyki specjalne dla uniknięcia grożących coraz częściej nieporozumień: jakże przykro byłoby naprzykład, gdyby w Dniu Oszczędności matki niektóre, przypuszczając że to właśnie przypada data kochania dzieci, przez pomyłkę ofiarowały swoim pociechom stosy cukierków i zabawek! Albo naodwrót znowuż, w Dniu Dziecka, sądząc, że obchodzi się właśnie Dzień Oszczędności, dały biednym maleństwom obiad, złożony z chleba i wody!

Na wspomniane kalendarzyki nie przyjdzie zapewne długo czekać, organizacja bowiem „świąt międzynarodowych", jak wynika z przytoczonej na wstępie notatki, poprostu zaimponować musi swoją sprawnością. Pomyśleć tylko: co roku nowa „pieśń o oszczędności" wzbogaca skarbiec poezji lirycznej! I co roku źródło natchnienia wytryskuje punktualnie w coraz to innym kraju! „W tym roku" — jak się właśnie dowiadujemy — „kolej przypadła na Polskę". W roku ubiegłym, prawdopodobnie, owocowało piśmiennictwo Peru czy Paragwaju, w roku przyszłym zaszczyt przypadnie — Portugalji... Jakże dalecy już jesteśmy od niezorganizowanego życia dawnych wieków, gdy w jednych krajach produkcja literacka przybierała charakter wprost masowy (np. Ateny za Peryklesa), w innych zaś nie rozwijała się w tymże samym czasie zupełnie... Współpraca międzynarodowa epoki dzisiejszej pozwala na sprawiedliwszy rozdział, racjonalniejszą, bardziej planową gospodarkę w tym zakresie.

Nie znam tekstu p. Czerwińskiego do muzyki p. A. T. Adama. Przypuszczam, że jest śliczny. Już temat: „Pieśń o oszczędności" poprostu fascynować musi swym urokiem natury na poezję wrażliwsze. Ileż zaś urozmaicenia wprowadziłoby w wierszu użycie takich prostych motywów, jak np. procent składany albo renta? A przechodząc od spraw treści do formy, same tylko rymy na „ędność" jakże wiele dają pola do popisu wirtuozowi poetyckiego kunsztu! Niestety, ciężkie czasy dzisiejsze zmuszają mnie do oszczędzania każdej złotówki, między innemi postanowiłem przestać abonować radjo, pewnie przeto „Pieśń o oszczędności", transmitowana „na wszystkie europejskie rozgłośnie", nie doleci uszu moich, płynąc na falach eteru.

Pozostanę zatem nieprzekonany. Wyznam bowiem, że — według mego zdania — nie przez roztargnienie bynajmniej teologowie katoliccy pominęli „oszczędność", układając listę cnót kardynalnych. Wartość moralna (i społeczna) oszczędności, czyli innemi słowy, powstrzymania się od czynienia pewnych wydatków w danej chwili celem lepszego zużycia zachowanych w ten sposób dóbr w przyszłości, całkowicie zależna jest od tego, na czem i w imię czego mianowicie oszczędności owych się dokonywa. Słusznie bywa chwalony ten, kto nie trwoni majątku na rzeczy niewłaściwe, i ten na równi, który umie nie szczędzić go, jeśli tak nakazuje rozum i sumienie.

Wyniesienie oszczędności („szanowania grosza") na piedestał cnoty samoistnej, o wartości bezwzględnej — to niedawny całkiem wynalazek, produkt bardzo charakterystyczny zmaterjalizowanej cywilizacji ostatnich lat stu kilkudziesięciu. Ale materjalistyczny pogląd na życie, razem z kultem pieniądza ma to do siebie, iż przyucza społeczeństwo nie do wyrzeczenia się bynajmniej, ale właśnie do użycia, nie do oszczędzania zgoła, ale, przeciwnie, do nieznającej żadnych hamulców rozrzutności. Im bardziej już nie „szanowanie" tylko, ale wprost cześć religijna dla „grosza" przenika najszersze masy, tem powszechniej obserwować też można pęd do życia nad stan i na to propaganda Dni Oszczędności (choćby nawet z muzyką i wierszami) napewno nie będzie skutecznem lekarstwem.

Tak już jest, iż oszczędność i bogactwo kraju rosną, gdy o postępowaniu jednostek decydują cele niematerjalne, np. wysokie poczucie godności osobistej, nakazujące, kosztem niemałych ofiar, dążyć do osiągnięcia niezależności majątkowej, aby nie być dla nikogo ciężarem, i mając własne, najskromniejsze chociażby utrzymanie, zabezpieczyć się przed koniecznością różnych, poniżających nieraz kompromisów, — albo nawet cele zgoła nieosobiste: miłość rodzicielska, ambicja rodowa, patrjotyzm... Staszic, w wyszarzanem ubraniu, nie w tem przecie wyraził istotną treść swojej duszy, że zgromadził znaczne bogactwa: potężniejsza miłość wypełniała przez całe życie jego serce, nakazująca wszystko, co miał, co do grosza, przekazać na użytek narodu.

Wytworzenie warunków dla tych właśnie, z nieosobistych motywów wypływających tendencyj do oszczędzania jest, oczywiście, najpierwszem zadaniem rządu, dążącego na serjo do wzmocnienia siły ekonomicznej społeczeństwa. Wierzę w moc czarodziejską poezji (zwłaszcza z muzyką), ale wydaje mi się, że skuteczniejsze byłoby znacznie, gdyby w „Dzienniku Ustaw" ogłoszono, nawet mową niewiązaną, nowelę, zmniejszającą np. nadmierne, obowiązujące dziś stawki podatku spadkowego i utrwalającą w ten sposób jedność gospodarczą rodziny przez przekazywanie zaoszczędzonego mienia potomstwu. Jeżeli uwaga nasza tak pilnie zwrócona jest na wskazówki, nadsyłane z Medjolanu, wartoby też pamiętać o jednej z pierwszych reform fiskalnych Mussoliniego, znoszącej podatek spadkowy przy dziedziczeniu w linji prostej, w linji bocznej do trzeciego stopnia i między małżonkami... Tymczasem wszakże, w tym samym

numerze „Gazety“, w którym zamieszczona została notatka o Dniu Oszczędności, można było wyczytać również streszczenie dekretu Prezydenta Rzplitej o odroczeniu wypłat w rolnictwie, dekretu raczej niepokojącego tych wszystkich, co oszczędności swoje umieścili w sposób, tak, zdawałoby się, ostrożny, jak w pożyczkach, zabezpieczonych na hypotekach nieruchomości wiejskich... To też „pieśni o oszczędności“ w dzisiejszych warunkach niełatwo u nas śpiewać... Conajwyżej możnaby ją... zagwizdać...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

KTO OTRUŁ MICKIEWICZA? Ponieważ ogół polski żywo zainteresował się sprawą rewelacyj p. Żeleńskiego na ten temat, musimy powiadomić i o tem, jak on swoje odkrycie dokumentuje. Zwracając się do St. Szpotańskiego, który w „Kurjerze Warszawskim“ zapytał go o dokument, mający rzekomo potwierdzić jego wersję, p. Żeleński odpowiada w sposób niepraktykowany w dyskusjach literackich. Zasłonił się taką analogją, jakby pragnął, żeby dalszą dyskusję przerwała cenzura. Wyraża mianowicie zdziwienie, że oburza się ktoś na jego plotkę

„na łamach... organu stronnictwa, z którego natchnienia wyrósł morderca pierwszego prezydenta odrodzonej Polski“...

Mamy teraz w Warszawie, dzięki posiłkom z Balonika krakowskiego, wytwornych polemistów. Dobrze, że nie powołał się na jakiś „dokument“, że p. Szpotański był wspólnikiem zabójcy, a jego dziad otruł Mickiewicza...

„Moi panowie historycy!“—ciągnie rezolutny polemista— „Bez obłudy! Grajmy w uczciwą grę!“

Długo następnie opowiada o tem, co mu kto mówił, że słyszał jakoby ktoś... Kończy się na tem, że żadnego dokumentu niema, a zresztą nie jego obowiązkiem jest go szukać, lecz historyków. On nie jest historykiem, tylko plotkarzem.

Trudno o gruntowniejszą kompromitację!

Przybywają nowe wyjaśnienia. P. Żeleński w odpowiedzi swojej powołuje się na dwie bibljoteki, które jakoby mają u siebie w tajemnicy przechowywane dokumenty, potwierdzające jego wersję o otruciu Mickiewicza przez Polaków: 1) Bibl. Czartoryskich w Krakowie i 2) na bibl. Pawlikowskich w Medyce. Co do drugiej powołuje się na wyznanie „właściciela bibljoteki“, iż „ma dowody, świadczące, że Mickiewicz zmarł otruty z powodu, iż wplątał się w sprawę, która okryłaby hańbą jego i Polskę“.

Otóż co do Czartoryskich ukazało się teraz w prasie oświadczenie zarządu Bibljoteki, podpisane przez dyr. M. Kukiela i dyr. St. Komarnickiego, że żadnych tajemniczych „teczek zielonych“ w zbiorach niema i że wogóle „zastrzegają się stanowczo przeciw szerzeniu plotek, uwłaczających instytucji“. Co do Medyki — przedewszystkiem w Medyce od dziesiątków lat bibljoteki niema. Bibljoteka Pawlikowskich istnieje we Lwowie jako instytucja użyteczności publicznej. P. Michał Pawlikowski, bawiący obecnie zagranicą, w liście do nas pisanym zapowiada, że nadeśle odpowiedź na tę niesłychaną „bujdę“, jak tylko zaznajomi się z tekstem informacji p. Żeleńskiego.

Prof. Un. Jagiellońskiego St. Pigoń donosi nam, że niebawem opracuje dla „Myśli Narodowej“ zebrane przez siebie dane o okolicznościach śmierci Mickiewicza.

NIE WYZYSKALIŚMY DOTĄD W ŻYCIU POLITYCZNEM TYCH WSZYSTKICH KORZYŚCI, jakie normalnie daje posiadanie własnego państwa. Z trudem przychodzi to „państwowcom“ zwłaszcza. Obserwując dyskusje prasowe, wydawać się może czasem, że Polska zdrętwiała w pewnych pozach z r. 1914. Taka kwestja „legjonów“ np. Dotąd nie umiemy rozprawiać o niej ze spokojem, w odbudowanem państwie — naturalnym. Bezwątpienia jest to winą systematycznej agitacji, która rokrocznie, przy okazji zjazdu „legjonistów“, i przy niezliczonych innych sposobnościach, rozpowszechnia beztrosko propagandowy swój banał. Kwestja „legjonów“, w warunkach dzisiejszych, nadal traktowana jest jako probierz lojalności politycznej, a t. zw. zjazd „legjonistów“ stał się centralną manifestacją polityczną *regime*'u nawet dziś, kiedy prawdopodobnie większość b. I brygady znajduje się w opozycji, i gdy u takiego maturzysty z r. 1932 cała odległa sprawa „legjonów“ żadnych wspomnień osobistych w pamięci nie wywołuje, a znaczenie hasła wydawać się musi niezrozumiałe... Starsze pokolenie, w pewnych odłamach opinji, dotąd kwestję traktuje jak świeżą. Zaledwie przed paru dniami doszło do ostrej „polemiki“ w tym przedmiocie między „Gazetą Polską“ a „Robotnikiem“. Głos zabrała nawet wiedeńska „*Reichspost*“. Nie będziemy streszczali wypowiedzianych z różnych stron poglądów i argumentów, chcemy tylko zwrócić uwagę na jedno: jak trudno, nawet w niepodległem państwie, spojrzeć trzeźwo „sanatorom“ ze starszego pokolenia na skończony zupełnie epizod historyczny z ostatnich lat niewoli.

CZEM SIĘ RÓŻNIŁ W GRUNCIE RZECZY LEGJONISTA OD POLAKA, PRZYMUSOWO ZACIĘGNIĘTEGO do szeregów wojska austrjackiego? Sercem polskiem? Samo takie postawienie sprawy jest śmieszne. Nie. Zarówno w nielicznych szeregach legjonowych, jak w wielotysięcznej masie polskiej, zmuszonej przez zaborcę do służby w jego armji, prawdziwa lojalność i wierność była oczywiście dla Polski. Reszta tłumaczyła się przymusem. Pomijamy zbrodnicze wyjątki. Stopniem zaś przymusu, któremu trzeba było ulegać, legjony nie różniły się wiele od innych formacyj armji. Słusznie pisze „Gazeta Polska“ (4 IX): „Nie dlatego... chłop polski szedł do wojska austrjackiego..., żeby „spełnić obowiązek“ wobec Ojczyzny — ale dlatego, że mu tak kazali...“ Ale nie ma sensu dalsze spostrzeżenie, (wyrażone w niemożliwie złej metaforze), że „właśnie po to powstały Legjony, aby krew polską i polską siłę wyjąć z cudzych rąk, aby na tem strasznem pobojowisku — śmierć polska nie szła zawsze Polsce na marne — innym na korzyść“. Dla korrekty wystarczy zacytować krótkie stwierdzenie: „Biliśmy się z Moskalami, będąc z musu w szeregach wojska austrjackiego“. Z musu, jak stwierdzał w powyższych słowach Józef Piłsudski, trzeba było być w „szeregach wojska austrjackiego“, którego jedną

z formacyj stanowiły legjony[1]). Ani o wyborze szeregów, ani o wyborze wroga, którego miało się bić, nie mogło być mowy. Nie własnowolnością wyboru w tych arcy-ważnych kwestjach różniły się legjony od reszty wojska austrjackiego, lecz — mundurem, więcej, niż czemkolwiek innem. Kwestja w istocie drugorzędna, lecz w wyobraźni społeczeństwa niewolnego — ważna. Społeczeństwo to zapomniało prawie o swych tradycjach wojskowych z czasów niepodległości narodu. Zapomniało, że świetność tych tradycyj, ich pyszna odrębność, w niczem związana nie jest z kultem munduru. Zapomniało, że wojsko, które zwyciężyło pod Grunwaldem, Kłuszynem, Beresteczkiem, pod Wiedniem— było wojskiem rycerzy w rozumieniu epoki dzisiejszej — nieumundurowanych. Czcić uniform nauczyło się dopiero po stracie niepodległości, w dobie epoki napoleońskiej, i potem w czasie Królestwa Kongresowego i powstania 1831 r. Im dłużej zostawało w niewoli, tem więcej do uniformu tęskniło, jako do symbolu własnej siły wojskowej. Gdy w czasie wielkiej wojny zaborca pozwolił garstce Polaków ubrać się w polskie mundury, w pewnym odłamie gotowe już było wziąć symbol za rzeczywistość, choć nie zelżał jeszcze w gruncie rzeczy przymus zaborcy.

JEDNĄ Z NIESPRAWIEDLIWOŚCI JASKRAWYCH w Polsce powojennej jest nieżyczliwość, naogół cechująca stosunek opinji do Legjonu puławskiego, a także do t. zw. legjonów Gorczyńskiego. Nie chodzi, ma się rozumieć, o wpojenie specjalnego kultu. Chodzi tylko o to, że te wszytkie względy, które nakazują odnosić się z szacunkiem do patrjotycznych intencyj legjonistów galicyjskich, z równą siłą nakazują podobny szacunek w stosunku do ideowców z Legjonu puławskiego. Sprawa jest znów tak oczywista, że nie wymaga argumentacji. Wydaje nam się, że nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że na krytyczną postawę społeczeństwa do ochotników puławskich wpłynął przedewszystkiem — krój mundurów, zbytnio przypominających długie szynele rosyjskie. Trzeba odetchnąć na chwilę atmosferę tamtych czasów, aby w pełni uprzytomnić sobie ówczesną antypatję do szynela. Na inny krój muduru, więcej przypominający tradycje napoleońsko — kongresowe, władze rosyjskie nie zezwoliły, a zakaz ten prawdopodobnie zabił całe przedsięwzięcie... Tu kult munduru, zrozumiały u społeczeństwa, wyrosłego w niewoli, dość kapryśnie stawał na zawadzie, lub pomagał ściśle analogicznym militarnym poczynaniom. Kaprysy tego kultu niewątpliwie zaważyły wiele i na dalszych, powojennych, dziejach Polski. Po dziś dzień kult ten jest siłą w narodzie, aczkolwiek napięcie jego zmniejszać się będzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — z dwuch mianowicie przyczyn. Pierwsza ta, że przyswajamy sobie coraz bardziej pojęcie „narodu pod bronią". Wszyscy są żołnierzami, lecz tylko zawodowi żołnierze stale noszą mundury. Kult cnót żołnierskich nie ginie bynajmniej, ale kult munduru (nieznany w takiej Francji) w normalnych warunkach coraz więcej wygląda li tylko na przeżytek sentynentalny z czasów niewoli. Powtóre w miarę, jak wyobraźnia młodego pokolenia coraz więcej uwalniać się będzie od suggestyj z okresu niewoli i coraz swobodniej zwracać ku dziejom dawnej Polski, i ku jej tradycji rycerskiej, ten charakter przeżytku uwidoczni się młodym oczom coraz lepiej.

[1]) Słowa powyższe cytujemy z „historycznego wywiadu", jaki w dniu 15 sierpnia b. r. zamieścił „Express Poranny" pod tytułem „Twórca Legjonów o swej roli w wojnie światowej".

KOŃCZY SIĘ TEGOROCZNY LETNI SEZON SPORTOWY. W żywej pamięci mamy sukcesy zawodników naszych na Olimpjadzie. Pojęcie sportu przenika do świadomości mas coraz szerszych. Niewątpliwie łączy się tam ściśle z pojęciem subwencji rządowej. W kołach „państwowych" dużo mówi się też o wartości propagandowej sportu. Przypomina się znowu, że przewagi Nurmi'ego wyjednały dla Finlandji pożyczkę zagraniczną. Jeżeli tak, to pp. Targowski i Koc, pertraktujący w podobnej sprawie z ramienia rządu polskiego we Francji, z pewnością gimnastykują się niedość intensywnie. Może te wyobrażenia o zdolności propagandowej sportu są przesadne? Niestety, wartość sportu prawdziwa, „duch sportowy", najmniej w tej chwili przez *régime* jest rozumiana. Jakże pusto pochwały dla sportu brzmią w czasie, gdy w polityce szczególnie premjowany jest — chwyt niesportowy. Najbardziej to cenione i oklaskiwane; i najlepiej bezwątpienia odpowiada naturze sanacyjnego „sprytu". W tem bodaj jego istota. Subwencja dla sportu na bieżni zbiegła się punktualnie z premją dla chwytu niesportowego w polityce... I tak era obecnej „propagandy sportu" wbija w głowy mas — ależ i „elity" — to jedynie, że duch „sportowy" panować może wyłącznie na boisku, a bardzo jest nie na miejscu na innych polach. Skutecznie go wyklęto. Jakże niesportowym jesteśmy dziś narodem! A przecież instynkty, i nieraz praktyka, nie są złe. Jaka wysoka jest np. solidarność, wzajemna uczynność i życzliwość automobilistów na drogach polskich! Czy to nie zastanawiające? Albo czy nie jest duża naogół lojalność myśliwych w stosunku do prawa łowieckiago? W tych, trochę automatycznych dziedzinach życia społecznego, — jakaś panuje przyzwoitość i duch lojalności... Czy nie przeniknęło do nich „wychowanie państwowe"? Uprzytomnia to trochę możliwości, leżące przed nami, a zarazem siłą kontrastu uwydatnia, jak od tych możliwości jesteśmy daleko. Kto w śmiałej wyobraźni porówna ducha sportowego w manewrach Sławków i Świtalskich ze sportową etyką automobilistów? Kto nie dojrzy dystansu między praworządnością „Strzelca" a lojalnością strzelecką...?

NAUKA I LITERATURA

SPRAWY NARODOWOŚCIOWE

UKAZAŁ się połączony Nr. 2 — 3 (za kwiecień — czerwiec) czasopisma „Sprawy Narodowościowe".

Czasopismo to, ukazujące się już szósty rok, zasługuje na baczną uwagę, jako dokładne i obfite źródło informacyj, dotyczących zagadnień, zwanych narodowościowemi. Wprawdzie może nieraz budzić zastrzeżenia tendencja tego czasopisma. „Sprawy Narodowościowe", zbliżone do kół sanacyjnych i masońsko-liberalnych („Instytut Badań Spraw Narodowościowych", będący wydawcą tego czasopisma, posiadał — jak donosi wymieniony numer na str. 298 — zarząd w składzie następującym: prezes p. Leon Wasilewski, wiceprezes

prof. M. Handelsman i ś. p. Tad. Hołówko, skarbnik p. Jerzy Osmołowski, członkowie p.p. sen. dr. H. Loewenherz, min. Juljusz Łukasiewicz, sen. prof. Witold Kamieniecki, zastępcy, red. Kaz. Okulicz i Ad. Stebelski) — mają w wielu sprawach, będących przedmiotem jego publikacyj, stanowisko z narodowo-polskiego punktu widzenia niewłaściwe. Zajmując stanowisko bez zarzutu wobec zagadnień, związanych z konfliktem narodowym polsko-niemieckim, nie mają postawy nawet w przybliżeniu równie wyraźnej, jeśli chodzi o sprawę żydowską. Jeszcze bardziej z narodowem stanowiskiem rozbieżne zajmują stanowisko w sprawach kresowych: zagadnienie ludności kresowej podciągają pod ogólny strychulec spraw narodowościowych, — nie usiłują odgraniczać obozu separatystycznego od ogółu ludności ruskiej, — konsekwentnie używają terminów „Ukrainiec", „język ukraiński" w znaczeniu „Rusin", „język ruski" i t. d.

Mimo to, czasopismo to, ograniczające się naogół raczej do podawania informacyj, aniżeli do formułowania programów, ze wszech miar na czytanie go zasługuje. Odznacza się (chlubnie się tem od większości zbliżonych do kół sanacyjnych wydawnictw odróżniając) objektywizmem oświetleń, rzeczowym i spokojnym tonem, poważnym kierunkiem zainteresowań, wrzeszcie—co najważniejsze—obfitością i źródłowością materjału informacyjnego. Jest to niewątpliwie najpoważniejsze w danej specjalności źródło bieżących informacyj z całej polskiej prasy.

Wymieniony wyżej nowy numer, stanowiący tęgi zeszyt o 177 stronicach druku, zawiera przedewszystkiem dobry i przynoszący wiele niespopularyzowanego, zasługującego na przyswojenie szerszej opinji polskiej materjału, artykuł W. Poboreckiego p. t. „Mazurzy w Prusach Wschodnich", dalej szczegółowe tablice (powiatami) wyników spisu ludności z dn. 30 IX 1931, porównane do analogicznych wyników spisu z roku 1921, kilka artykułów w sprawach mniejszej wagi, a mianowicie artykuł o Niemcach i Duńczykach w Szlezwiku, oraz artykuł (niejakiego prof. dr. M. Korduby), w którym rozważany jest dość niezwykły dylemat, czy „naród" białoruski ukształtował się w czasach przedhistorycznych (*sic*), czy też (jak autor konkluduje) najwcześniej dopiero (*sic*) w drugiej połowie wieku XVII-go.

W dziale kroniki numer przynosi wiele interesującego materjału z życia naszych „mniejszości narodowych" (Niemców, Żydów i Rosjan), grup separatystycznych, działających śród naszych szczepów kresowych (Rusinów i Białorusinów), Polaków poza Polską. Niemców w Kłajpedzie, — dalej materjału, dotyczącego spraw narodowościowych w Sowietach, spraw mniejszościowych na terenie Ligi Narodów, działalności Instytutu B. S. N., — a wreszcie obfitą bibljografję.

W świetle tego suchego materjału kronikarskiego tragicznie wygląda polska polityka na kresach Wileńskich i Nowogródzkich (str. 240—244). Jak się okazuje, istnieją w tej chwili na tych kresach dwa gimnazja t. zw. białoruskie, to znaczy prowadzone w duchu białoruskiej narodowo-separatystycznej ideologji oraz w mowie białoruskiej, jako języku wykładowym. Jedno z nich istnieje w Wilnie, drugie w Nowogródku, oba były dotąd subsydjowane przez rząd (*sic*) i oba stoją w obecnej chwili przed perspektywą likwidacji z powodu trudności materjalnych. Wobec tej perspektywy, Kuratorjum Okręgu Szkolnego zwróciło się do obu gimnazjów z propozycją... przejęcia ich na etat państwowy z prawem przekształcenia na równoległe, białoruskie klasy w miejscowych gimnazjach polskich, — a tem samem utrzymania ich przy życiu. W odpowiedzi na powyższą propozycję, białoruskie separatystyczne pisemko („Białoruski Zwon") nie krępowało się w napisaniu, że uważa tę propozycję za „nieprzyzwoitą", oraz że (dosłownie) „nie możemy wprost przejść spokojnie nad tem pismem i jego treścią, tak obrażającą wydaje się nam propozycja, uczyniona przez p. Kuratora", — równocześnie zaś stwierdziło z całą swobodą, że „jesteśmy słabi ekonomicznie, co zmusza nas zwracać się do Skarbu Państwa o podtrzymanie finansowe". W tymże czasie komitet rodzicielski gimnazjum białoruskiego w Wilnie zwrócił się do Kuratorjum z pismem, w którem odmawia zgody na jego propozycję, — motywując to między innemi tem, że w szkołach państwowych opłata wynosi 220 zł. rocznie, w gimnazjum zaś białoruskiem (subwencjonowanem przez Państwo!) tylko 60 zł., przyczem komitet rodzicielski nie chce z tego uprzywilejowania separatystycznie usposobionej młodzieży białoruskiej wobec młodzieży polskiej zrezygnować. W konkluzji Komitet prosi Kuratorjum o subwencje dla białoruskiego gimnazjum „i to w takiej liczbie, ażeby białoruska młodzież szkolna, wyjątkowo wrażliwa na wszelką krzywdę, nie czuła się upośledzona". — W odpowiedzi p. kurator Szelągowski udzielił wywiadu „Kurjerowi Wileńskiemu" (2 VI 32), w którym tłumaczy się, że „oba wymienione zakłady stoją pod znakiem zapytania, jeśli idzie o dalszą ich egzystencję. Pozostaje jedyny środek, by Białorusinom zapewnić możność kształcenia się w języku białoruskim w dotychczasowych rozmiarach. Jest nim przejęcie wspomnianych szkół na etat państwowy". Pan kurator wyjaśnia, że intencją rządu jest utrzymanie dwuch gimnazjów białoruskich jako placówek samoistnych, związanych z gimnazjami polskiemi (jako klasy równoległe) tylko tymczasowo. „W każdym razie klasy białoruskie mieścić się będą w osobnych budynkach". (Oczywiście! Byle młodym separatystom oszczędzić zgubnego kontaktu z młodzieżą polską, byle ich ustrzedz przed zgubnemi wpływami polonizanyjnemi).

Jednem słowem — gniazda separatyzmu białoruskiego, niezdolne utrzymać się o własnych siłach, podtrzymywane będą — na szkodę Polski — przez sanacyjne kuratorjum. Byle naród polski pomniejszać, — byle część jego odeń oderwać i wyhodować na narodowość odrębną!

Również i pozostałe rubryki kroniki przynoszą wiele interesującego materjału.

Pozwolimy sobie tylko sprostować dwa błędy, zapewne zecerskie: (str. 186) „Nowiny Śląskie" wychodziły nie we Włocławku, lecz we Wrocławiu. (str. 338) Czeski tytuł „Južni Srbsko a t. zw. Makedonska Otazka" brzmi po polsku nie „Południowo serbska t. zw. Macedońska kwestja", lecz „Południowa Serbja, a t. zw. kwestja Macedońska".

WIEL.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W Woli Okrzejskiej na Podlasiu (pod Łukowem), w miejscu urodzenia Henryka Sienkiewicza, zawiązano komitet, którego zadaniem jest wznieść autorowi Trylogji pomnik - kopiec. Kopiec ten będzie usypany przy drodze do stacji Okrzeja i będzie miał 25 m. wysokości. Sypanie zacznie się już wkrótce. Oficjalne, uroczyste otwarcie nastąpi wiosną 1933 r. w pięćdziesiątą rocznicę zaczęcia Trylogji.

*

Na zapowiedziany zjazd międzynarodowy historyków, który ma odbyć się w Warszawie w r. 1934, zgłosiło się już około 200 uczestników, w tem stu kilkudziesięciu z zagranicy.

*

Dowiadujemy się, że dr. Zygmunt Szweykowski, autor monografji o „Lalce" Prusa, wykończył studjum o Adolfie Dygasińskim. Monografja tegoż autora o „Emancypantkach" Prusa jest również na ukończeniu.

*

Młody muzyk warszawski Feliks Kęcki wykończył monografję o Mieczysławie Karłowiczu. Książka, ozdobiona rycinami, ukaże się tej jesieni nakładem Warsz. Tow. Muzycznego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydawnictw, poświęconych sprawom Prus Wschodnich jest w Polsce bardzo niewiele. Dlatego z zadowoleniem należy powitać książkę zbiorową pod redakcją Marjana Zawidzkiego p. t. „Prusy Wschodnie. Przeszłość i teraźniejszość". Poznań, 1932 r. str. 338. Na książkę składają się poszczególne rozprawy, opracowane przez wybitnych specja-

listów. A więc prof. Józef Kostrzewski pisze na temat „Zabytków przedhistorycznych Prus Wschodnich". Prof. Kazimierz Tymienicki omawia „Znaczenie polityczne sprowadzenia Krzyżaków". Prof. Wacław Sobieski zajmuje się zagadnieniem „Walki o programy i metody rządzenia w Prusach Książęcych", podając w swej rozprawie wiele cennych faktów, dotyczących polskości Prus w przeszłości. „Pamiątkom polskim w Prusach Wschodnich" w dobie obecnej poświęca rozprawę Stanisław Srokowski. Kazimierz Nitsch pisze o „Języku polskim w Prusach Wschodnich" stwierdzając identyczność języka Mazurów pruskich i innych szczepów polskich. Włodzimierz Wakar zajmuje się „strukturą demograficzną Prus Wschodnich". Sprawom gospodarczym poświęcone są rozprawy, Antoniego Plutyńskiego „Upadek gospodarczy Prus Wschodnich" i A. Kotiużyńskiego „Niemiecka pomoc gospodarcza dla Prus Wschodnich i jej cele polityczne". Z obydwu wynika niezaprzeczenie, że upadek gospodarczy Prus Wschodnich pochodzi z oderwania ich od Polski i że wszelkie wysiłki niemieckie, mające na celu ich podźwignięcie gospodarcze, chybiają celu. Książkę zamyka rozprawa Emila Rueckera, „Ewolucja zagadnienia Prus Wschodnich". Nie wchodzimy tu w szczegółowe omawianie poszczególnych rozpraw. Tu głos powinni zabrać specjaliści. Chcemy tylko jeszcze raz podkreślić, że książka poświęcona Prusom Wschodnim, napisana w sposób naukowy, a właśnie dlatego stwierdzająca bez najmniejszej wątpliwości łączność Prus Wschodnich z otaczającemi je ziemiami polskiemi, zasługuje na najprzychylniejsze przyjęcie przez społeczeństwo polskie. (J. P.)

*

Słusznie skarżył się jeszcze w „Myślach nowoczesnego Polaka" Roman Dmowski, iż dawna Polska przez błędną politykę nie zdołała wytworzyć silnego stanu mieszczańskiego, wskutek czego handel i częściowo przemysł został opanowany przez żydów. Fatalne skutki takiego stanu rzeczy widzimy po dziś dzień w wielu miastach b. zaboru rosyjskiego i austrjackiego; dziś jest zresztą pod tym względem o wiele gorzej, niż niegdyś. Dawniej przynajmniej rzemiosło mogło się samodzielnie i korzystnie rozwijać, a to dzięki organizacji, której teraz zabrakło. Organizacją tą były cechy. Dziejami ich od zamierzchłego średniowiecza aż po wiek XVIII nieraz się już zajmowano, biorąc pod uwagę głównie miasta, w których organizacja cechowa była najsilniej rozwinięta, t. j. Kraków, Lwów i Poznań, tu zasługują na uwagę przedewszystkiem rozprawy Ptaśnika, Łukaszewicza, Warschauera, Brücknera i nowsza Charewiczowej. Po tych trzech miastach czwarte miejsce miał Przemyśl, który oddawna należał do najczynniejszych i najbardziej żywotnych grodów Rzeczypospolitej. Praca nad dziejami tego miasta rozwija się znakomicie, dzięki wytrwałości i przedsiębiorczości miejscowego Tow. Przyjaciół Nauk, założonego i przez długie lata inspirowanego przez ś. p. Leonarda Tarnawskiego. Liczne publikacje Towarzystwa, m. in. wydawane doniedawna „Roczniki", zyskały sobie wielkie uznanie w świecie naukowym. Wzorowo urządzone archiwum miejskie, uporządkowane i skatalogowane przez dyr. Jana Smołkę, dostarczyło bogatego materjału zasłużonemu już kilkoma pracami historykowi, Kazimierzowi Arłamowskiemu do sumiennej, a zajmująco napisanej monografji p. t. „Dzieje przemyskich cechów rzemieślniczych w dawnej Polsce". Rzecz tę podzielił autor na kilka części, zajmując się najpierw organizacją cechów (skład osobowy, samorząd), następnie ich działalnością gospodarczo-przemysłową; wreszcie ich udziałem w życiu kościelnem, społecznem i wojskowem (cechy nieraz broniły Przemyśla, np. przed Tatarami i Kozakami). Ciekawe są też — szkoda, że tak skąpe — wiadomości o życiu towarzyskiem i obyczajowem cechów. Pożyteczna ta książka powinna się znaleźć w każdej bibljotece historycznej. (J. B.)

*

Staraniem kwartalnika „Sprawy Obce" ukazała się broszura Władysława Namysłowskiego, p. t. „Rezydenci Polscy w Hamburgu" (Warszawa — Główna Księgarnia Wojskowa, 1931 r. str. 23). Autor podaje, na podstawie hamburskich materjałów archiwalnych, szereg informacyj, dotyczących przedstawicieli Polski w Hamburgu w wieku XVII i XVIII. Najciekawszą postacią z pośród nich jest Jakób Abensur, żyd, pochodzący z żydów portugalskich. Był on, mimo usilnych starań Hamburga, zmierzających do jego usunięcia, w ciągu 18 lat przedstawicielem Polski. Cieszył się on poparciem prymasa Radziejowskiego i kanclerza Jabłonowskiego, utrzymywał bliższe stosunki z księciem Conti i z królem Stanisławem Leszczyńskim, a jego ojcem chrzestnym, gdy w r. 1707 przyjął chrzest, był sam król Ludwik XIV. Tak rozległe stosunki nasuwać mogą przypuszczenia, że Abensur musiał odgrywać jakąś rolę w tajnych związkach ówczesnych, a wobec tego byłoby rzeczą ciekawą bliższe zainteresowanie się tą osobistością. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Ukazało się drugie wydanie książki „*Le régime douanier de la France*" str. 358, napisanej przez prof. Bertranda Nogaro i prof. Marcela Moye. Pierwsza część książki poświęcona jest rozpatrzeniu francuskiego systemu celnego z punktu widzenia gospodarczego, druga francuskiej administracji celnej. Książkę cechuje tak właściwa Francuzom jasność i zwięzłość. (J. P.)

*

Jako tom 12 wydawnictwa „*Volkswirtschaftstheorettsche Abhandlungen*", prowadzonego przez profesora ekonomji na uniwersytecie w Jenie, Weyrmanna, ukazała się książka dr. Huberta Fulde p. t. „*Die polnische Arbeitergewerkschaftsbewegung*". Książka zawiera dużo cennego materjału z historji zawodowego ruchu robotniczego w Polsce. (J. P.)

FILM

FILHARMONJA: „Przedziwna sprawa Klary Deane". wytw. Paramount.

Treść filmu—niecodzienna, jak na filmy amerykańskie—zasługuje na uwagę. Młoda, porządna dziewczyna, pracownica magazynu mód, wychodzi za mąż za obwiesia. Obwieś marnuje jej życie. Wplątana w jego sprawki, niezasłużenie dostaje się do więzienia, skazana na lat 30. Ma córeczkę i nie znajdując innego wyjścia, aby ratować małą, za namową władz więziennych i patronatu nad więźniami, zrzeka się praw matki. Dziecko adoptuje ktoś jej nieznany (tak podobno robi się w Ameryce), kto mu potrafi zapewnić byt i opiekę rodzicielską. Po 15 latach matka wychodzi z więzienia. Córka jest już dorosłą i szczęśliwą panną. Matka szuka jej wszędzie, ale nikt nie chce wyjawić, gdzie się znajduje i znowu tłumaczą matce, że to dla dobra dziecka. Nieszczęsna matka dała się w końcu przekonać i nawet już po odnalezieniu córki nie mówi jej, kim jest dla niej.

Sceny między matką a córką mają duże walory dramatyczne. Ale Amerykanie, nawet gdy się zdobędą na inteligentniejsze postawienie tematu, nie umieją go rozwiązać w dość przekonywający sposób. Niezupełnie wierzymy, aby ujawnienie dorosłej i naprawdę wartościowej dziewczynie tego rodzaju prawdy o jej matce mogło wywołać taką katastrofę.

Film o podobnej treści mógłby się stać w opracowaniu dobrego reżysera czemś naprawdę interesującem. Niestety, tu reżyserja nie często się wznosi ponad przeciętną miarę. Początek jest całkiem banalny, kilka fragmentów środkowych ma bardziej wartkie tempo i więcej wyrazu, zakończenie — zupełnie inteligentne. Całość nieco teatralizująca. Pozatem ma się wrażenie, iż reżyser nie zdawał sobie należytej sprawy z wartości stosowanych chwytów i dlatego dobre momenty wyglądają tak, jakby się przypadkiem szczęśliwie udały.

W roli matki wyróżnia się aktorka Wynne Gibson, grą pełną człowieczeństwa.

ADRJA PALACE: „Emma" reż. Clarence Brown.

Cały film, wszystkie osoby w nim działające, służą właściwie za tło, dla ukazania na niem charakteru głównej postaci, starej kobiety, która całe życie rozdawała serce swym bliźnim, by nic nie otrzymywać wzamian. Emma, gospodyni, ma na swej opiece cały dom: uczony, gromadka jego dzieci, którym zastępuje zmarłą matkę — wszyscy bez niej nie daliby sobie rady, jak powiada. Krząta się od świtu do późnej nocy, stale gdera, spojrzenie ma surowe, ale świata poza swymi pupilkami nie widzi. I gdy splot wypadków pozbawia ją tego domu, odsuwa od dorosłych już wychowanków, odchodzi i wynajduje inny dom, znowu zaczyna przewijać niemowlęta, niańczyć dzieci i t. d. Bo nie mając swoich blizkich, musi oddawać swe serce obcym.

Reżyser ukazał nam to życie bez sztucznego patosu, bez ckliwego sentymentu, niczego nie upiększał: jest ono czasem szorstkie, czasem trochę śmieszne, ale przedewszystkiem prawdziwe. Jakiś świeży powiew zdaje się przenikać niektóre filmy amerykańskie, przypomniano sobie, że świat jest zaludniony nietylko samemi ślicznotkami, eleganckimi młodymi ludźmi, oraz bandytami. Przypomniano sobie o starej kobiecie, która potrafi ujawnić zdolność kochania, nawet bez uciekania się do „namiętnych" pocałunków.

W roli Emmy znakomita charakterystyczna aktorka, Marja Dresler.

KANDYD.

OFENSYWA

EUROPEIZACJA! NIE ŻADEN AMERYKANIZM!

Motto:

Kobiety, panie łaskawy, mylą się, gdy sądzą, że są bardziej zajmujące, niż wszechświat. Kiedy wszechświat chwieje się w posadach, kobiety powinny zamilknąć, a mężczyźni powinni znaleźć szlachetniejsze i wyższe zajęcie, niż obdarzać je pocałukami.

(G. B. Shaw w ostatniej komedji).

JEDNO z chronicznie bankrutujących pism prosanacyjnych (bezzębny grzechotnik), doszczętnie wyjałowiony i pustynnie nudny „Kurjer Poranny", aby nabrać jakichś rumieńców, ogłosił sobie taką ratunkową ankietę o „nadchodzącej kobiecie". Niech się w czas kanikularny warszawscy *prominent* nieco na to *conto* wygadają czy wygłupią. Doda im się dla zachęty ich portrety... Może o sto numerów więcej wykupią oporni czytelnicy mniejszościowi, z których jeszcze wielu wstyda się trzymać w rękach, w tramwajach i kawiarniach, „Nasz Przegląd" lub zgoła „Hajnta". Ten i ów powiedział tedy, co wiedział, ta i owa dodała swoje, ale się trzeba przyznać nie wysilili. Gdyby nie Irzykowskiego zawsze oryginalne i zawsze *outsider*'skie wypowiedzenie i gdyby nie głos eugenetyka Wernica, byłaby w sumie poprostu sieczka, którą nie pożywiłby się nawet woźny z Poradni Macierzystej.

Między innymi zabrał też głos i nasz znakomity reżyser filmowy, Ryszard Ordyński. Odkrywca bądź co bądź Poli Negri i tylu innych gwiazd i gwiazdeczek, że mógłby już konkurować z astronomami względnie astrologami, tym razem wypowiedział się lakonicznie, szablonowo i niejako na „Szaro", widocznie dopiero do swoich zapowiedzianych „Pamiętników" odkładając rzeczy esencjonalne i pikantne. Natomiast udając złudnie ten gatunek snobów, o których kursuje znane powiedzenie „*merçi-s*, nasiedział się w Paryżu", znów wyjechał z tą swoją Ameryką, od której wśród Lodomerjanów w M. S. Z. (Nowy Sącz, Limanowa, Tarnów, Mielec, Grzybów, Milówka, Gdów... *Gottesländchen)* uchodzi za rzeczoznawcę, i to całkiem chyba słusznie, jako że ocean tylokrotnie tam i z powrotem przejechał, ilokrotnie każdemu z nas uda się przejechać najwyżej... Morskie Oko lub na drugi brzeg Wisły.

Powiedział tedy *dear* Ricardo co następuje:

„Kobieta ostatniej doby nie tylko uniezależniła się od psychiki mężczyzny i od jego warunków materjalnych, ale co ważniejsze stworzyła sobie własny świat duchowy i własny krąg zainteresowań. Kobieta amerykańska, której rozwój miałem sposobność obserwować podczas wieloletniego pobytu w Ameryce Północnej, umiała jeszcze przed ostatnią fazą emancypacji europejskiej utorować własną drogę życia, obok mężczyzny, z mężczyzną i bez mężczyzny. Nakazała mężczyźnie szanować jej osobowość, zdobyła prawo wejścia w szeregi pracowników i siłą faktu obaliła wszelkie legendy o drugorzędności wyników pracy kobiecej".

Poczem, ażeby wszystko było jasne a w kołach „Reformacji Seksualnej" nie wzięli go przypadkiem za klerykała lub zgoła zatraconego endeka dodał jeszcze:

„Kwestję regulacji urodzin w Ameryce ujęła w rękę kobieta, z początku bardzo za to prześladowana. Dzisiaj sprawa propagandy ograniczeń urodzeń podobnie wygląda, jak prohibicja, to znaczy jest urzędowo tępiona, ale w rzeczywistości wszędzie, jak przed teatrami np. bez trudu wysłanniczki tych stowarzyszeń rozdają biuletyny t. zw. „*Birth Control*" a wielkie rzesze bez hałasu zasadzie tej hołdują i z poradni tych korzystają".

„Wszędzie" „jak przed teatrami"... Otóż to właśnie, Ameryka „jak przed teatrami"! Ale nie cała Ameryka jest przed teatrami, nie cała przy Broadwayu i w... Lunaparku, nie cała w restauracjach hotelowych, gdzie się schodzą „artyści" *managery*, operatory i reportery, nie cała za kulisami rewjowych teatrzyków: Jest zdaje się jeszcze inna Ameryka, kilka Ameryk, kilkaset.

A po drugie? No, to to cytowanie Ameryki jako jakiegoś wzoru, jakiegoś przykładu, jakiejś mety idealnej, do której i za którą należałoby dążyć! To jest i *vieux jeu*, *very lodomerry* i rekord w zacofaniu, zasklepieniu, zastoju. Skądżeż dziś jeszcze takie „padam donóżkowanie" i „całuję rączkowanie" Dollarice? Jak może *causeur* tak nowoczesny, tak wszystkim „izmom" kolejnym (berlińskim i nowojorskim) się poddający, tak zawsze modny, moderny, modernistyczny, zatrzymać się rozwojowo na kulcie z przed lat dziesięciu? Czyżby żywił iluzje, że „bogata" Ameryka tym panom z *the darkest Lodomerry* jak i pełnowartościowym kulturalnie Polakom nadal jeszcze tak okropnie imponuje? Czyżby tak intelektualny *salounard* bagatelizował całą olbrzymią nową literaturę z Ameryki i o Ameryce? literaturę oskarżycielską, w najwyższym stopniu i natężeniu negatywną, już choćby na tym jednym „odcinku" t. j. *in puncto femina*?

Otóż trzeba raz o tem się dowiedzieć, że nie wszystko, co amerykańskie, nas tu zaraz olśniewa i fascynuje. Jak nad olbrzymiemi (a dziś pustemi) nowemi drapaczami nieba tak i nad powiekszonemi fotografjami Chaplina czy Kagana z najautentyczniejszymi podpisami, bez dreszczów wzruszenia przechodzimy do porządku dziennego. To mogą być olśnienia czy wyrocznie, ale tylko dla tej Elity, która z dziadoszoskiego galicjanizmu jeszcze się nie zdołała wyemancypować, choć już Rolls-Royce'mi jeździ...

A już co do stawiania nam za przykład rozkwitu i *moral* dzisiejszych przeciętnych Amerykanek burżuazyjnych, to odrzucamy ten model najstanowczej. To jest ideał ale *à rebours* na opak. Tysiąc myślących ludzi w Ameryce: profesorów, beletrystów, publicystów załamuje nad tem ręce. Tysiąc książek rozprawia o tem głośno i alarmująco. Tysiąc turystów-podróżników ten rządzący dziś, modny typ Amerykanki przepełnia poprostu obrzydzeniem. Ostrzegają wszyscy. Czyżby tak oświecony *globetrotter*, jak znakomity nasz reżyser filmowy, mógł o tem nie wiedzieć lub to wszystko zbagatelizować? Żeby nie nudzić i nie przeciążać cytowaniem głosów, potępiających gynajkokrację, wampiryzm, ruję, porubstwo, pijaństwo, egoizm, zblazowanie, nudę i czczość modnej Amerykanki, zacytujemy tu jeden tylko głos, właśnie jako *argumentum ad hominem*, to jest tegoż samego dnia co wywiad p. Ordyńskiego, artykuł w „Naszym Przeglądzie" p. t. „O obyczajach erotycznych w Ameryce", a więc nie źródło „klerykalne", „endeckie". „wsteczników". Jest to referat z książki amerykanina Prestona, dającego gorsze i smutniejsze rewelacje od słynnych swego czasu „Półdziewic" M. Prévosta. „Zepsuci synowie starej Europy mogliby pod tym względem brać lekcje od cnotliwych Amerykan"... „Niezadługo ziomkowie Waszyngtona uważać będą Francuzów za nieśmiałych niedołęgów"... „Utrwala się i staje się normalnym system, który urąga zdrowiu, zarówno fizycznemu jak i moralnemu"...

Kto zaś jest współczynnikiem głównym tej „reformacji seksualnej" i tych rządów Afrodyty, jak za czasów ostatnich imperatorów Romy?

„Trudno nie być zdumionym tonem literatury amerykańskiej z ostatnich lat dziesięciu. Freud nie poznałby swych własnych uczniów, tak oni prześcignęli mistrza. Są to opowieści o skomplikowanej miłości, które podsycają w młodzieży drzemiące w niej zmysły. Powieści te, sądząc po ich tytułach, mogłyby się znaleźć na półkach bibljoteki w ...lupanarze".

I to jest właśnie ta literatura „z przed teatrów" przy Broadwayu. Ale na tej opierać się nie można. Trzeba koniecznie zapoznać się i z tą drugą... poważną...

Lat temu może jeszcze dziesięć można było po powrocie z Ameryki imponować rodakom co się wlezie. Teraz kontynenty się zbliżyły. Więcej wiemy i szczegółowiej znamy dziś Amerykę niż np. Nalewki, Bałuty, Kazimierz, Stradom...

Papie Szalomowi Aschowi Ameryka jeszcze tak imponowała, jak naszemu znakomitemu reżyserowi filmowemu. Ale już syn jego, Nathan Asch napisał powieść debiutancką („Dzień 23 sierpnia"), którą poleca się do przeczytania rzeczoznawcy w sprawach amerykańskich do specjalnych poruczeń Galicjanków z M. S. Z.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Sanacja" pod osłoną posła Bojki, dzisiaj sanatora, wtargnęła do wioski Wierzchosławic, gdzie mieszka p. Witos, i urządziła tam wiec, buntujący chłopów przeciw Witosowi. Wiecie, jaką uchwałę ten wiec powziął? Oto taką:

„Zebrani stwierdzają, że w obecnej sytuacji międzynarodowej konieczna jest zgoda i solidarność wszystkich dobrych synów ojczyzny, gdyż tylko na tej drodze leży siła i potęga państwa polskiego".

Mają humor „dobre syny" pomimo kryzysu.

*

P. inż. Kühn spróbował kolei żelaznych, ale przyszedł do wniosku, że lepiej tramwajem.

A czemu wyszedł z rządu p. Jan Piłsudski?

— Postanowił zająć się czemś na serjo.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.